



PRENUMERATA we LWOWIE:
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 12 zhr., półrocznie 6 zhr.
kwartalnie 3 zhr.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 14 zhr.
półrocznie 7 zhr. kwartalnie 3 zhr. 50 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni D. E. Friedleina.

Redaktor A. J. O. ROGOSZ.
Wydawcy: A. J. O. ROGOSZ i F. H. RICHTER.
Główny skład w księgarni F. H. RICHTERA we Lwowie.
Biuro redakcji przy ulicy Halickiej l. 52

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni
J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie 8 tal. półrocznie 4 tal. kwartalnie 2 tal.
NA PROWINCJI:
Rocznie 9 tal. 10 sgr. półrocznie 4 tal. 20 sgr. kwartalnie 2 tal. 10 sgr.

ZAKŁAD EDUKACYJNY W LAUZANNIE

Zygmunta Miłkowskiego.

Rzecz pewna i niezawodna, że wychowanie krajowe, rodzinne, w domu polskim, w szkole swojej, pierwszeństwo ma i mieć powinno przed zagranicznym. Prawda ta dowodzenia nie potrzebuje; nie jest jednak bezwzględna. Zdarzają się położenia, z okoliczności wynikające, które nie tylko usprawiedliwiają, ale pożytecznym i potrzebnym czynią wysyłanie dzieci pod obce nieba, w celu szukania tam światła wiedzy i zdrowia duszy. W położeniu takim znajdują się rodzice pod zaborem moskiewskim i pruskim, gdzie edukacja publiczna stanowi rodzaj ujeżdżalni, mającej za zadanie nałamywanie młodzieży do chodzenia w zaprzęgach zupełnie jej obcych. Kto temu może zaradzić, dlaczegożby tego uczynić nie miał? Moskale i Niemcy dzieci polskie demoralizować usiłują, inaczej bowiem na powolne narzędzia przerabiać by ich nie mogli. Jak najzupełniej więc usprawiedliwionymi są ci rodzice, którzy, jeżeli im tylko możność pozwala, szkół zagranicznych dla dzieci szukają.

Obok tego zachodzi jeszcze i potrzeba, — potrzeba, że się tak wyrazimy, edukacyjnej pomiędzy Polską a Europą zachodnią wymiany. Polska, członek europejskiej narodów rodziny, żyje życiem Europy: nie może więc, przez wzgląd na interesa własne, krzyżując się z interesami narodów ucywilizowanych, wyosabniać się i w sobie zamykać. Byłby to patriotyzm pojęty jak najgorzej. Owszem, koniecznym jest dla nas garnąć do siebie światło zewsząd, w ilości jak największej, poszukując go tam zwłaszcza, gdzie jest najczystsze, najprzystępniejsze i do użytkowania na gruncie polskim najprzydatniejsze.

Powody powyższe skłaniają nas do zwrócenia uwagi czytelników naszych na zakład edukacyjny, otworzony w Lauzannie, przez znanego z prac literackich p. Z. Miłkowskiego.

P. Z. Miłkowski, ukończywszy nauki w kraju, pod panowaniem rosyjskim, uczył się dużo za granicą; zabierając często na polu publicystyki polskiej głos w kwestji nauczania i wychowania,

dowiodł, że znaczenie i doniosłość takowej czuje i pojmuję; sam jest ojcem a obok tego człowiekiem tak prawym i szlachetnym, iż śmiało możemy powiedzieć, że mało dziś ludzi jemu podobnych; daje więc rękojmię dostateczną we względzie kierownictwa zakładem, mającym na celu kształcenie młodzieży polskiej na „pożytecznych społeczeństwa członków.“ Otworzył zakład w Lauzannie — w Szwajcarii. Szczegół ten dla nas Polaków ważnym jest ze względów hygienicznych, odnoszących się do strony moralnej. Jak istnieje bowiem higiena fizyczna, tak też istnieje i higiena moralna — pierwsza i druga zależy szczególnie od atmosfery i pokarmów. Szwajcaria jest jedynym w Europie krajem, w którym sprawa edukacyjna zajmuje w szeregu zadań publicznych miejsce, jakie jej się należy, najpierwsze i najpoważniejsze. W Szwajcarii jednej nie nałamyują jej do celów gabinetowych, nie podporządkowują widokom stronnictw, szanują ją i wszelkich dokładają starań, celem zachowania jej w niepokalaności obywatelskiej. Wypływa to z natury rzeczy. Szwajcar każdy bierze udział bezpośredni w rozstrzygnięciu kwestji społecznych, ekonomicznych, administracyjnych i politycznych, edukacja przeto stała się tam potrzebą ogólną, uznawaną i pojmowaną przez wszystkich i przez wszystkich popieraną. Każdy pamięta, że dzieciom należą się przede wszystkim przykłady dobre. Z tego powodu kraj cały wygląda niby jeden wielki zakład edukacyjny, otoczony atmosferą, jakiej nie znajdujemy w krajach innych, atmosferą moralności, prawdy, pracy i brania życia ze strony poważnej. Nie rzucają się tam w oczy: próżniactwo, lekkomyślność i zbytki, wystawiane gdzieindziej oficjalnie na widok publiczny. Nie produkują się tam przykłady, sprawiające dystrakcje szkodliwe i budzące w młodocianych duszach pragnienia fałszywe. Na dziecko każde zapatrują się w Szwajcarii jako na przyszłego obywatela, dzierżącego w rękach swych losy ojczyzny. W warunkach takich postawiony zakład edukacyjny przedstawia się z góry w świetle korzystnym, zdolnym obudzić zaufanie rodziców, pragnących dzieciom swym zapewnić dobre wychowanie.

Szkoły szwajcarskie są na poły wojskowe. Obok nauk cywilnych wykładają się w nich i wojenne. Młodzież, uczęszczająca do kolegów i szkół realnych, zorganizowana jest w korpusy kadetów, zobowiązanych odbywać musztwę i słuchać teorii piechoty i artylerji. Przy obowiązujących w Rosji, Prusach i Austrii prawach służby wojskowej ogólnej, jest to dla młodzieńca polskiego korzyść wielka i ułatwienie nie małe, gdy wstępując bądź z wylosowania, bądź też jako ochotnik do szeregów, posiada z góry znajomość rzeczy. W Rosji, według ustawy z 1 stycznia 1874 r., egzamina z nauk i języka nadają przywileje, skracające czas służby szeregowej. Program zakładu pana Z. Miłkowskiego, obok nauk szkolnych, języków nowożytnych i języka polskiego, obejmuje język, historję i literaturę rosyjską, czyniąc przez to zadość wymogom ustawy rosyjskiej z jednej strony, z drugiej zaś, występując jako kompensata w obec utrudnień, jakich doznaje młodzież polska przy wstępowaniu do szkół rosyjskich. Chłopiec od lat ośmiu do siedemnastu znajdzie tam wszystko, co stanowi rękojmię edukacji pełnej: dom polski, w domu dozór troskliwy, za domem przykłady dobre, w szkole naukę sumienną i wszechstronną, uzupełnioną wiadomościami specjalnie potrzebnymi dla obywatela, zobowiązanego stosować się do praw rosyjskich lub niemieckich.

Przytaczamy ustęp główny programu:

„Zakład ma na celu wychowanie, naukę.

„We względzie wychowania zwracać się będzie nade wszystko uwagę na moralność w zastosowaniu do życia obywatelskiego i na obywatelność, rozbudzając i rozwijając w chłopcach: „zamiłowanie do pracy, uczciwość, honorowość, „oszczędność, skromność, wstrzemięźliwość i to „przekonanie, że człowiek każdy tak się kierować winien, ażeby się stał pożytecznym społeczeństwa członkiem.

„Troskliwość o zdrowie ciała. — W tym „względzie utrzymywać się będzie chłopców „w ciągłym zajęciu, tak umysłowym jak fizycznym, „przy ścisłym przestrzeganiu przepisów higieny.

„cznych pod względem pomieszkania, ubrania, obuwia, jadła, snu, ruchu i odpoczynków.

„Przyzwoitość w obejściu się; grzeczność w stosunkach z ludźmi.

„Nauka rozpada się na szkolną i domową.

„Co się tyczy nauki szkolnej, pobieranej w jednym z zakładów publicznych, przestrzegając się będzie tego, ażeby dzieci szły do szkoły nie inaczej, jak z lekcjami dobrze umianemi i gruntownie wytłumaczonemi. Co do nauki domowej, ta obejmować będzie: 1) Wprawę w mówieniu językami francuskim, niemieckim i angielskim; 2) Język polski, historia i literatura; 3) Język rosyjski, historia i literatura; 4) Religja. Przedmioty te wykładać będą nauczyciele odpowiedni pod dozorem dyrektora zakładu.“

Złą stroną zakładu p. M. stanowi to, że, dla kosztów utrzymania, wynoszących rocznie 1200 zł. od ucznia, korzystać z niego mogą zamożniejsi. Ta zła strona atoli, zapatrując się na nią z punktu ogólnego, nie jest bez kompensaty. Wychowywanie młodzi zamożniejszej, powołanej z góry do zajmowania stanowisk wpływowych, otacza, tak u nas jak w ogóle w Europie, z wyjątkiem Szwajcarii, ilość taka i takich szkół i niebezpieczeństw, że dla tej to młodzi najbardziej szukać należy miejscowości, w odpowiednie warunki zdrowia moralnego zaopatrzonych, a któraż pod tym względem miejscowość jest odpowiedniejszą i dogodniejszą, nad Szwajcarię, nad Lauzannę, miasto ustronne i ciche, w dystrakcje szkodliwe ubogie, ale za to bogato wyposażone w piękności natury, w czystość powietrza, i zasoby naukowe, dające możność edukację zacząć i skończyć? Stolica kantonu Vaud, używająca reputacji *d'une ville lettrée*, posiada w murach swoich biblioteki, muzea, galerje, szkoły początkowe, szkoły średnie (kolegium i realne) i Akademię, dzielącą się na wydziały prawniczy, filozoficzny i teologiczny, z przyłączonym do niej instytutem politechnicznym. Nauczanie na wszystkich stopniach, odbywa się według systematów i metod udoskonalonych. Grono nauczające, do którego niegdyś należał Adam Mickiewicz, składa się z ludzi dystygowanych. Lauzanna przeto, dzięki zakładowi utworzonemu przez pana Z. Miłkowskiego, przedstawia się jako punkt, w którym młodzi Polacy, nie tracąc na polskość a zyskując na moralności, korzystać mogą z edukacji sumiennie i w duchu rzetelnego postępu prowadzonej.

Znając osobiście p. Z. Miłkowskiego, oceniając należycie niepospolite jego zdolności i rzadką prawość charakteru, kończymy zapewnieniem, że jego tylko zakład edukacyjny, z pomiędzy wszystkich istniejących za granicą, jest prawdziwie korzystnym dla Polski i jej synów.

SERCE I REKA.

POWIEŚĆ PRAWIE HISTORYCZNA

przez

J. I. KRASZEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Powitano go bardzo mile. Sam Radzca, uprzejmy dla wszystkich, przy pierwszych już odwiedzinach bacznie rozpatrując się w młodzieńcu, na którego miał podejrzenie (jak i na innych), że się starać może o Olimpię — uderzony był jego rozsądkiem, wytrawnością i tonem doskonałym.

Prawda każe przyznać, iż Zygmunt, jak dobry wirtuoz, grał zawsze z takiego tonu, jakiego mu było potrzeba i doskonale się od razu do pana Radzcy dostroił... Zupełnie w innym tonie przedstawił się on pani Radczyni, która nim była zachwyconą; wyznał jej bowiem, że miał ten szczególny gust, iż dojrzalsze kobiety przenosił nad młode, że dlań *une femme de quarante ans* była ideałem. A że pani nie przyznawała się do więcej nad czterdzieści — wzięła to do siebie. Tak dawno biedna nic podobnego nie słyszała!

Zgodne pochwały ojca i matki, to uniemożliwiało prawie nie słyszane, uczyniło wrażenie na pannie Olimpi, ciekawa była poznać człowieka, który potrafił się razem jej ojcu i matce podobać.

Odwiedziny przypadły w godzinach poobiednich. Konie z całą paradą zostały przed gankiem pałacowym. Nie rychło ale z pośpiechem wyszła sama pani, tym razem mając z sobą córkę...

Trudno opisać Olimpię... Nawet pan Zygmunt, który widział tyle, przeżył i był pewien, że mu już wszystkie niemal typy niewieście doskonale są znane, z podziwieniem znalazł w niej nowy... Uderzyła go na-przód piękność, wzrost, kibić, kształty, majestat chodu, dumna osada głowy jakby do dźwigania korony przeznaczonej — wyraz tragiczny czarnych oczów nieulekłych, które się z żadnem wejrzeniem spotkać nie lękały i nie cofnęły przed żadnem badaniem, śliczne małe usta, niemal ze wzgardą podniesione nieco — ale nadewszystko wyraz całej postaci i fizjognomji. Było w niej coś z tragedji greckiej, przypominała mu Rachel na teatrze francuskim, Ifigenię... Medę... Nawet nieświadomy jej tajemniczej historii, mógł ją, nietajoną, wyczytać z wyrazu tej pięknej a dziwnie smutnej twarzy... Zygmunt całe czego innego się spodziewał a znalazł potęgę, w obec której prawie zwątpił o sobie. Widział teraz dobrze, że tu, aby zwyciężyć, trzeba się było poddać na łaskę i niełaskę... Zwątpił też, czy się podobać potrafi, czy do tego tonu — nastroi się tak, aby nie był znowu dysonansem dla matki i ojca.

Kwestja starania się o pannę — wydała mu się nierównie zawilszą, niżeli ją sądził z razu. Lecz — nie rozpaczal. Przyszłość tylko czarną i chmurną się przedstawiała. Nie była to kobieta płocha, zalotna, ani upokorzona grzesznica; lecz niewiasta czująca swą godność, swe prawa i nieugięta pod ciosami losu.

W czarnej sukni, z białemi tylko mankietkami i kołnierzykiem, ubrana z prostotą prawie przesadną, Olimpia była przecież tak wielką panią, że Zygmunt, doskonały aktor, czuł się przy niej mało co lepszym od lokaja.

Ponieważ całe towarzystwo skupiło się przy jednym stoliku i Zygmunt nie mógł specjalnie do nikogo się zalecać, ograniczył się chłodnym dowcipem i wielkiem umiarkowaniem. Nie przeszkadzało mu to popisać się zręcznością z wielkimi stosunkami w świecie, ze znajomością obcych krajów, z literackiem wykształceniem, z miłością sztuki... i z nader wybitnemi zasadami zachowaw-

czemi, które w każdym pałacu naturalnie najlepsze znajdują przyjęcie.

Odwiedziny były krótkie, strzegł się bardzo w nich spłoszyć pannę natarczywością swą — owszem znajdował się obojętnie; kilka tylko razy oczyma strzelił, nadając im ekspresję zdumienia i pytającą. Wzrok ten wszakże odbił się od panny Olimpi jak od porfirowej bryły. Niechciała go ani rozumieć, ani nań zwrócić uwagi.

Taki był początek a raczej wstęp do konkurów, nie zdający się nic rokować. Dalszy ciąg z niezmierną sztuką był obrachowany. Zygmunt był bardzo rzadko... najpodejrzliwszy człowiek nie mógł go posadzić o jakieś zamysły matrymonialne. Przed matką wyznawał że spieszyć się i nie może i nie chce dopóki by — czegoś nie znalazł ze wszechmiar odpowiedniego. Tym czasem szczególnie przywiązał się do matki... Nie wiele potrzeba było, aby ją zająć, obudzić najżywsze uczucia i podbić zupełnie. Pani Radczyni z zachwytem mówiła o nowym sąsiedzie. Radzca wstrzemięźliwszy w pochwałach, oddawał mu sprawiedliwość. Panna milczała... Ciągnęło się to dosyć długo by Zygmunt w domu zupełnie się spoufalił i jako dobry sąsiad bez ceremonji był każdego czasu przyjmowany. Pożyczał książki, posyłał dzienniki (których sam prawie nie czytał), robił małe przysługi. Panna Olimpia przekonała się, jak się zdaje, iż to nie był konkurent i śmielszą się stała z nim. Spotykając się coraz częściej prowadzili najrozmaitsze rozmowy... i — nie bardzo godzili z sobą. Zygmunt był w tem położeniu, że choć chciał potakiwać jej, nie mógł, przyznawszy się wprzód głośno do pewnych myśli, wręcz głośnie przeciwnych. Modyfikował je wprawdzie i ścierał z nich kanty ostre; ale się to na niewiele przydało.

W charakterze Olimpi było zresztą to, że chętniej występowała zawsze z opozycją, niż zgodą. Nawet gdy pozornie na jedno się godzili, wymykała się, posuwając dalej niż Zygmunt, aby na jednej z nią linii nie stanął. Matka, której ten miły, kochany baron stał się bożyszczem, umiała tak kierować towarzystwem, gdy przybywał, aby z nim być jak najwięcej na uboczu... Zygmunt zdawał się jej do tego dopomagać, przyjaźń zawiązała się serdeczna... gorąca do zbytku ze strony pani, nadskakująca z jego,

Radzca patrzył na to okiem człowieka, który rad jest bardzo że mu ktoś żonę bawi, i rozwesela. Olimpia patrzyła obojętnie z wysokości na przybysza...

Żadne ludzkie oko postępu i rozwoju tych stosunków dobrze wysledzić nie mogło... Zygmunt zachował w nich tak powolne stopniowanie, iż poufalskość do jakiej doszedł nie razila... W całym też domu co żyło, oprócz starego gracjalisty Macieja, chmurno nań poglądającego, było ujęte, przekupione, zyskane grzecznością, datkiem, uprzejmością jakąś lub niezbadanemi środkami... Sieci zarzucał rybak zdala, cicho ale tak, aby mu się nie wymknąć nie mogło z saku.

W końcu pierwszego roku dzierżawy, — trwało to nie mniej nad rok, — doszedł do tego, iż pani zastraszona utraceniem takiego przyjaciela, ostatniego — pierwszy raz pod-

sunęła mu sama myśl starania się o Olimpię.

Zygmunt zakrzyknął: — Ja? o pannę Olimpię... ale to rzecz niemożliwa! Sama pani to wiesz najlepiej....

— A ja panu powiadam, ściskając dłoń jego szepnęła matka — że jeśli mnie będziesz słuchać, jeśli od niej nie będziesz wymagać za wiele w pierwszej chwili, ja ją potrafię skłonić.... Staraj się pozyskać mojego męża, bądź dla niej uprzejmym, zbliż się... chciej... ja mówię, że będzie twoją....

Po pierwszych tych wynurzeniach — rozpoczęło się dopiero staranie, do którego Radczyni dołożyła ze swej strony największą troskliwość i zręczną rachubę. Olimpię zbyła pierwszą insynuacją matki milczeniem, potem przyszło do otwartej rozmowy, do przekonania, do sporów i do nieustannych nalegań.... Radczyni też poddała naprzód mężowi myśl tę, iż nieźle by było mieć dla Olimpii takiego zięcia jak Zygmunt. Radzca od dawna bardzo widząc smutek i zgadując cierpienia córki, licząc jej lata, pragnął nieźmiernie wydać ją za męża. Odmówiła tylom, iż zgodziłby się być na każdego, mniej więcej przyzwoitego człowieka. Gdy żona mu powiedziała, iż spodziewa się córkę skłonić do tego zameścia — chwycił się projektu oburącz. Zygmunt przez ten rok zachowywał się tak, iż nic mu zarzucić nie było można. Gospodarstwo nawet okazało się dobrem i wielce praktycznym. W sąsiedztwie miał tylko przyjaciół. Ojciec, trapiiony postrachem starego panieństwa córki, bądź co bądź wydać już ją pragnął. Jej smutek, milczenie, dojrzałość przedwczesna, zobojętnienie na wszystko przerażały go. Obawiał się melancholji, choroby....

— Jeśli to jest rzecz możliwa — odpowiedział żonie, jeśli Olimpię przystanie na to — ja się zgadzam. Mielśmy go czas poznać lepiej, niżeli się zwykle starających zna... człowiek bardzo zręczny, miły i przyzwoity.... Ojciec wprawdzie nie najlepszej używa reputacji — ale... trudno wszystko mieć razem....

Najdziwniejszem w tem było, że panna nie sprzeciwiała się zrazu. Uwiodło to matkę i uczyniło jej nadzieję, że związek łatwiej skojarzy, niż się później okazało.... Olimpię badała narzuconego jej męża... i zdawała czuć ku niemu wstręt, którego nie objawiała słowami, ale milczeniem.

Zygmunt zbliżył się do niej już widocznie, starając porozumieć. Trudno mu było dobyć słowa; słuchała go jakby z tajoną wzdrgną, śmiała się, ruszała ramionami, zadawała mu sfinksowe zapytania.... Jak skoro rozmowa zaczynała się stawać drażliwą i niebezpieczną — zrywała ją. Były chwile, iż się zdawała prawie zdecydowaną; potem odskakiwała przerażona....

Matka zabiegała napróżno....

Znając przywiązanie córki do ojca i uległość jej dla niego jednego, Radczyni skłoniła wreszcie męża, iż sam na sam rozmówić się o tem postanowił z Olimpią.... Nakazał mu być stanowczym i nalegającym.

— Moja droga Olimpko, rzekł, przychodząc do niej na górę ojciec — mam z tobą pomówić w ważnej sprawie, bądź łagodną, dobrą i nie zbywaj mnie tem swem

zabójczem milczeniem. Raz przynajmniej chcę widzieć jasno w sercu twojem.

Olimpię usiadła naprzeciw niego i podała mu białą, wychudłą rękę.

— Chcesz mnie widzieć spokojnym i szczęśliwym? Masz li odwagę zrobić dla mnie ofiarę? dziecko moje — mów.

— Jeśli nie przechodzi sił moich....

— Zrób wybór — dodał ojciec, zaklinam cię — idź za męża.... Spróbuj innego życia, gdy to zdaje ci się ciężkie, a twój smutek moje zatruwa....

— Rozumiem, odezwała się powoli — idzie oto, abym poszła za pana Zygmunta.

— Wolalbym, ażebyś poszła za niego, niż za kogo innego, nie taję....

— Ale dla czegoż mam tak koniecznie, pospiesznie, za męża wychodzić?

— Moje dziecko! proszę cię, policz lata! Straciłaś najpiękniejsze... w późniejszym wieku, mówię ci to z doświadczenia... szczęście jest trudnem.... Ja nie jestem wiecznym. Matka twoja... nie potrafi pokierować wyborem... ona sama często, mimo całego swego rozumu i najlepszego serca, potrzebuje opieki. Daj mi odetchnąć... niech będę o twój los spokojnym.... Zygmunt jest człowiekiem statecznym, wytrawnym, ma wiele dobrych przymiotów, familja nie najgorsza.... Zapewne, pod względem imienia, miałaś partję świetniejszą... ale ty sto razy mi mówiłaś, że do tego nie przywiązujesz wagi.

— Najmniejszej — odezwała się Olimpię. Lecz, ojcie kochany, pozwól sobie powiedzieć, ja nie mam też najmniejszej ochoty iść za męża.

— Przecież to jest kolej nieuchronna.... Musisz pójść w końcu — mówił Radzca. Z twoim charakterem klasztor się jeszcze mniej godzi.... Moje dziecko, zawołał, daj mi odetchnąć swobodnie, uczyni mnie szczęśliwym, niech ja cię widzę zameżną... weselszą, — inną.

Smutnie spuściła głowę Olimpię.

— Mój dobry ojcie — rzekła z uśmiechem, pełnym gorzkości — zobaczysz mnie zameżną, jeśli to do twego szczęścia jest potrzebnem — ale szczęśliwą, ale weselszą — wątpię.

— Ty nie znasz sama siebie....

Blysnęły oczy córki, gdy usłyszała te słowa, usta się poruszyły jakby chciała powiedzieć: — Biedny ojcie — ty nie znasz córki swojej... lecz zamilkła....

Długi czas jeszcze mówił, przekonywał, prosił Radzca... zobaczył w oczach jej łzy....

— Dosyć tego, ojcie kochany, rzekła rękę mu dając — masz słowo moje, iż jeśli rzecz będzie możliwą — jeśli się zdołam zwyciężyć — jednym słowem — jeżeli zdołam się na siłę... stanie się, czego pragniesz... Błagam cię o chwilę namysłu, nie nagliście....

Pierwszy raz od lat dziecinnych ojciec zobaczył córkę we łzach; wzruszyło go to niezmiernie. Łzy nie były zwykłym łatwym płaczem niewieści; czuł, że je wycisnęła boleść, że płynęły krwią serca, że paliły twarz, po której ciekły.... Z poza nich czarne oczy płomieniem jakimś dzikim gorzały.... Stała drżąca, poruszona, straszna jak ofiara, którą na stos wiodą....

Chciał mówić, skinęła ręką prosząc, aby

ją samą zostawił i padła na kanapę. Od tej chwili rozpoczął się dramat pomiędzy matką a córką, nieustanny.... Olimpię prawie nie wychodziła od siebie.... Gdy Zygmunt przyjeżdżał, posłuszna ojcu, pokazywała się w salonie....

Matka siadywała godzinami u niej, słysząc było rozmowy... żywe okrzyki, to znowu jakby jęk i prośby.

Naostatek pan Zygmunt, na dany znak przez matkę, w ganku zostawszy sam na sam z Olimpią, oświadczył się jej.

Przygotowana zapewne do tego... panna stała jak posąg marmurowy, słuchając Zygmunta; patrzyła nań to z gniewem, to z politowaniem.... Gdy zamilkł i miała odpowiedzieć, łkanie podobne do serdecznego śmiechu, przerwało jej mowę, opamiętała się jednak prędko i wróciła do chłodnej powagi swojej.

— Dawnom się mogła domyśleć pańskich zamiarów, rzekła; dziwna rzecz, iż pan, tak przenikliwy, nie potrafił się dopatrzeć tego, iż przyjmując jego oświadczenie najokropniejszy gwałt zadać sobie będę musiała.... Ale rodzice moi życzą sobie tego, pan się nie lękaś....

— Rachuję na przyszłość, na staranie najczulsze o jej szczęście....

— Nie rachuj pan na nic, myślą rachuby ludzkie, zwłaszcza z istotami tak dziwaczniemi jak ja. Powtarzam panu pytanie — nie lękaś się pan?

— Będę szczęśliwym!

— Ja nią być nie mogę — i pan nim być nie potrafisz — dodała Olimpię.

— Przyszłość jest w ręku Bożem... a ja ufam w serce gotowe do poświęceń dla pani.

Ruszyła ramionami.

— Nie mówmy lepiej o sercach — rzekła spokojniej — nie mogę przypuścić abyś mnie pan kochał — ani bym ja go kochać mogła. Jestem szczerą....

Zygmunt się skłonił.

— Ja jestem uparty... szepnęła.

— A ja sceptyczną. Umiałeś pan tak szczęśliwie poprowadzić swe interesa (wyraz ten wymówiła delikatnie), iż oprzeć się naleganiom nie mogę. Uprzedzam jednak go, iż położę warunki z mej strony, że będą ciężkie i że od nich nie odstąpię.

— Ja ślepo je przyjmuję....

Od stóp do głowy zmierzyla go oczyma Olimpię.

— Jeśli tak — odezwała się, rzecz jest skończona — pomówimy o nich później; teraz zostaje tylko panu rozmówić się z moimi rodzicami, lecz, powtarzam panu, warunki będą ciężkie, stanowcze i ja z nich nie ustąpię.

To mówiąc odwróciła się i powolnym krokiem przeszła do salonu; tu porzuciwszy Zygmunta, na którego się nawet nie obejrzała, poszła milcząca do swojego pokoju.

Na drodze spotkała ją matka; badającym wzrokiem niecierpliwie rzuciła pytanie.

— Wszystko skończone — odezwała się idąc, pan Zygmunt się oświadczył — ojciec tego żąda, mama mnie zmusza... znać przeznaczeniem mojem być ofiarą, więc nią będę.

Matka chciała się jej rzucić na szyję.

Olimpia zasłoniła się rękami... i pierzchnęła. Radczyni pobiegła do Zygmunta, który pozostał na progu sali, jakby przykuty we drzwiach. Nie widać było na nim najmniejszego wzruszenia, ujął pulchną rękę zbliżającej się pani, pocałował ją i cicho rzekł:

— Skończone... jestem przyjęty....

Ton, jakim to wymówił, nawet panią Radczynię najlepiej dlań uprzedzoną, jakoś zdziwił i nieprzyjemnie uderzył.

— Pozwoli mi pani, poczęł pospiesznie, abym natychmiast do najbliższej stacji pojechał i zatelegrafował do ojca.... Lękam się, aby panna Olimpia jeszcze się nie cofnęła... trzeba więc świadków i pewnych form....

— O mój Boże! wzruszona zawołała kobieta — padając na fotel — jak się to wszystko skończy....

— Niech pani droga będzie spokojną, i ufa mi, że lepiej i łatwiej pójdzie wszystko, niż się w tej chwili przedstawia. Widzi pani, że ja, cobym miał największe prawo do obawy, mam odwagę spojrzeć w przyszłość okiem pewnem.

Schylił się jeszcze pan Zygmunt całując czule podaną rękę i chciał odchodzić. Matka poprowadziła go do ojca. Radzca przyjął nowinę wzruszony, ścisnął dłoń Zygmunta, ale w tej chwili najpilniej mu było widzieć Olimpię.

Pobiegł do niej, pożegnawszy odjeżdżającego. Drzwi zastał zamknięte, dopiero na głos jego otworzyła mu córka.... Stała z rozpuszczonymi ślicznymi włosy, splakana, bolejąca; z poza łez uśmiech się dobył ze zbłądłych warg, drżących.

— Ojcie, rzekła — to ofiara dla ciebie.... Bądź spokojnym, a nie miej mi za złe, że stara, zwiędła, niedowierzająca niczemu i nikomu — popłacę trochę.... Było mi znośnie w rodzicielskim domu — było mi dobrze z wami... żal mi porzucić i ten kąt drogi i to życie do którego nawykłam.... Wyście tak dobrzy byli dla mnie — matka... ty... wszyscy.... Jakże nie mam płakać....

W kilka dni, ojciec Zygmunta z gwiazdami i orderami nadjechał zdyszany, rozpromieniony, a głupszy, niż był kiedykolwiek w życiu...

Syn zobaczywszy go, zląkł się, bo był pewien, że ze zbytku szczęśliwości utnie mu jakiegoś bąka, wygada się — skompromituje siebie i jego. Pierwszego więc dnia, pomimo własnej niecierpliwości, nie puścił ojca, dopóki go nie ostudził, nie przywiódł do opamiętania, nie postawił na żądanym stopniu temperatury... Szambelan dawał sobie mówić co chciał... chodził tylko po pokoju nieprzytomny, powtarzając.

— Ha! ha! mówili mi zawsze... głupi... otóż macie — otóż wasze rozumy tego nie dokazały co ja z moim poczciwym Zygmuntem... A co? a co? he? W pokrewieństwie z pierwszymi domami, miljonowa fortuna... należym do arystokracji... Jeżeli się doczekam wnuka, to go ożenie z kim zechcę... prosić się o niego będą Potoccy... Gdyby dziad twój żył — o mój Boże! coby to było za szczęście dla niego! Dam na mszę! na wotywę! To opieka Boska wyraźna nad domem naszym...

Paplał stary, upił się przy obiedzie, wyspał w fotelu i monitowany cały wieczór,

dopiero nazajutrz był gotów do Zabrzezia... Zygmunt ledwie go uprosił, żeby gwiazdy nie przypinał do fraka, ale od kokardki obronić go nie mógł... W ganku już roztkliwił się Szambelan, witając Radzcę i pocałował go w ramię, bijąc się w piersi, jak grzesznik odchodzący od konfesjonu...

Zygmunt go musiał w przechodzie do salonu strofować i reszta tego dnia uroczystego przeszła dobrze... Wprawdzie Olimpię chciał się do nóg rzucić Szambelan, dziękując za szczęście syna, ale go powstrzymano. Nastąpiły umowy o dzień ślubu, a że wyprawa była z dawna gotową, i wszyscy życzyli sobie przyspieszyć gody — a pan młody wedle zwyczaju nowego, mając zaraz sięść do wagonu z żoną, niepotrzebował wielkich przygotowań — dzień wyznaczono dość bliski. Olimpia napróżno odwlec go usiłowała...

Ze strony Dobińskich nie było ani mowy o żadnych układach co do interesów, co do posagu, ani wymagań. Sam Radzca wziął ich po obiedzie na cygaro do siebie i oświadczył, że projekt intercyzy jest napisany. Stało w niej, iż państwu młodym z ojcowizny i macierzystych funduszów, dawali tymczasowo państwo Radzców, trzy folwarki i pięć tysięcy talarów rocznego dochodu do nich. — Po najdłuższym życiu pana Radzcy, cały majątek ziemski obejmowała córka, obowiązując się dożywotnio wypłacać matce pewną sumę... Radczyni na wszelkie się warunki zgodziła... Dobińscy ani mogli marzyć o świetniejszych...

— Kochany Szambelanie — dodał trochę zakłopotany gospodarz — pozwól mi jeszcze dodać coś do tego i nie obrażaj się proszę... Wiem, że nie z waszej winy, interesa macie zawikłane... pan Zygmunt może potrzebować na początek kapitału... Nie wejdzie to w żaden rachunek, a pozwólcie, abym mu ofiarował po przyjacielsku małą sumkę, o której proszę, aby nikt nie wiedział. Chcę, by miał głowę spokojną...

Mała ta sumka wynosiła dziesięć tysięcy talarów, a nigdy trafniej nie mogła przyjść jak w tej chwili. Że Szambelan słysząc to nie zwarjował, winien zapewne szczególniej opiece patrona swego... Zygmunt podziękował z godnością wielką — Radzca uściskał go czule.

— Staraj się tylko, aby Olimpia była szczęśliwą, bądź dla niej czułym i dobrym... bądź wyrozumiałym...

I we łzach utonęła reszta...

* * *

W dniu przeznaczonym na wesele, mała garstka zaproszonych gości cała już była zebraną w Zabrzeziu; — Radzca nie chciał tłumy, a Olimpia wyraźnie go prosiła, ażeby ślub odbył się jak najciszej i przy najmniejszej liczbie świadków. W miarę jednak jak się zbliżała chwila stanowcza, Olimpia, pomimo najczulszych starań matki, zdawała się coraz bardziej przerażoną tem małżeństwem i dawszy ostatnie słowo, cofała się i zwlekała. — Prawie nieodstępną była przy niej matka... która niepokoiła się, zamiast rezygnacji widząc w niej coraz większą rozpacz, niemal dochodzącą do gwałtownych wybuchów.

Gdy w salonach zabawiało się wesoło zebrane towarzystwo, a Szambelan szczęśliwy, ożywiony, prawil i opowiadał o swych podróżach do stolicy i stosunkach z najwyższymi położonymi osobami; gdy Radzca (który o usposobieniu córki, ukrywaniem przez matkę, mało co wiedział) z pogodną twarzą grał rolę szczęśliwego ojca i uprzejmego gospodarza, a pan młody usiłował promienieć szczęściem, chociaż, mimo chłodu swego, upokorzony był i gniewny; w pokojach Olimpię odgrywała się jedna z tych tragedji domowych, które, jak tajemna choroba we wnętrzościach człowieka, najsilniejszy organizm zniszczyć mogą. (C. d. n.)

OBRAZY Z ANGLJI.

Przez

Sewera...

II.

(Ciąg dalszy.)

Na jednej stronie karty, którą otrzymałem od nieznanego, było wydrukowane wielkimi głoskami: „Bóg jest nieomylny“ na drugiej zaś ogłoszenie, że w kościele metodystów, na oznaczonej ulicy, będzie miał kazanie na powyższy temat, dżentelmen, sławny pryncer*) w całej dzielnicy; a nie mniej sławny jego pomocnik, objaśni wyjątek z Biblii, podwójnie dużymi literami odtłoczony na papierze.

— Jakiż jest cel w rozdawaniu tych kart? zagadnałem.

— Bardzo naturalny; aby ściągnąć jak największą liczbę ludzi do kościoła, zachęcić ich i zapisać na listę metodystów, a w końcu opodatkować na rzecz kościoła, kaznodziei, szkoły, i zarządu.

Na małym placyku, utworzonym z przecięcia dwóch ulic, jeden z dżentelmenów, młody człowiek z wystającymi kośćmi policzkowymi, zajęty był układaniem, przy pomocy dwóch jeszcze dżentelmenów, cienkich listewek z drzewa, które przyniósł z sobą. Stanęliśmy, przypatrując się robotcie. W parę minut z dobranych deszczulek powstało małe podwyższenie, dodano do niego poręcz na dwóch drążkach; wszystko to razem ześrubowano i chudy dżentelmen wstąpiwszy na to miniaturowe rusztowanie, ręce oparł o poręcz, a oczy podniósł w górę. W pozycji tej, pozostawał aż do zebrania się kilkunastu osób około improwizowanej ambonki. Wtedy zaczął opowiadać o śmierci Chrystusa dla naszego zbawienia. — Czyby który z was przełał swoją krew i oddał życie za przyjaciela, matkę, żonę lub brata? — wołał błądy pryncer, — „nie, ani ja, ani wy, nie jesteście do tego zdolni, a Chrystus oddał za nas krew i życie, i w tem dowód, że jest Bogiem!“...

Oburzony byłem na demoralizującą mowę młodego pryncera; chcąc przekonać o boskości Chrystusa, odbierał nam to właśnie, co jedynie uświęca i uszlachetnia ludzkość — poświęcenie. Jeżeli on nie oddał życia swego za nic i za nikogo, to przecież aż nadto mamy ludzi, którzy inaczej pojmują i pojmuwali przyjaźń, miłość, a nawet poświęcenie swoje dla wiary.

— Chodźmy! — szepnął mi kapitan, — gdyż po jednym jeszcze frazesie, byłbym wstanie wyboksować tego opryska publicznej moralności. Założyłbym się, iż to figura płatna przez

*) Mowca religijny, kaznodzieja.

jedną z kongregacyj, która nie chce stracić swego czasu w niedzielę.

Uśmiechnięta miss, w popielatej sukni, niebieskim szalu i kapeluszu tegoż koloru, zatrzymuje nas skinieniem ręki; stajemy. Miss rzuca badawcze spojrzenie, mierząc nas od stóp do głowy, następnie z jednego pakietka wyjmując kartkę, a oddając ją kapitanowi, uśmiecha się szydersko. Z drugiego pod pachą wysuwa zadrukowany papier i wręcza mi, lekko spuszcza-
jąc oczy, poczem kłania się z taką dystynkcją i odrzuceniem głowy, że aż wstrząsnęły się kółeczka na jej czole o świecącej się skórze i złote loki na ramionach.

Treść kartki kapitana zawierała satyrę na padalczyków, ród męski, znany ród uwodzicieli, czyli węzów; ja zaś otrzymałem opowieść snu, jakim Miss nawiedzona została przed dziesięciu laty. W tym to czasie Miss była narzeczoną, a sen przestrzegał ją, że jej oblubieniec jest zdrajcą. Na tej podstawie Miss zerwała stosunki, a w przyszłości przekonała się, że gdyby tego nie uczyniła była pierwsza, przedstawiciel padalczego rodu gotów był sam zerwać.... Na końcu opowieści znalazłem dodatek, jakoby sen, na pocieszenie przyrzekał jej szczęście rodzinne, spokój i umiarkowany dobrobyt.

— Okaz ten, — rzekł kapitan, — należy do katolickiego kościoła Irlandji. Mnie dostały się przekleństwa, tobie nadzieje.... Miss musi być starszą na pensji, i oprócz utrzymania, posiada dochodu funt szterlingów na tydzień, którym gotowa podzielić się z węzem, lub padalcem, jeżeli tylko przysięże przed stopniami ołtarza poprawę, a zatem dożgonną wierność.

— Przyznam się, że to zbyt oryginalny środek objawiania swych przekonań, snów i zamiarów.

— Nasz to rodzimy, — odpowiedział kapitan — prawdziwie angielski sposób anonsów, wynaleziony i rozpowszechniony w Albionie; on to dał pochop do zakładania matrymonjalnych dzienników i takichże kantorów.

Miss irlandzka oddaliła się od nas pospiesznie na kilkanaście metrów; następnie zwolniła kroku, oglądając się dwa razy. Widocznie zostawiła nam czas do namysłu.

Nie namyśliwszy się, niestety, zwróciliśmy naszą uwagę na nowego Spikera, stojącego po drugiej stronie wielkiego publikhausu. Ogorzała twarz, ręce spracowane, pocziwy wyraz i serdeczność przeświecająca z całej postaci i ruchów — pociągnęły mnie i zatrzymały.

— *Ti-totler*, — szepnął mi kapitan, — gdyż ich uprzywilejowane miejsca są zazwyczaj obok szynków.

— Cóż ten wyraz w istotnym swoim znaczeniu objaśnia?

— *Ti-totler* dosłownie herbato-pijak, oznacza człowieka, który należy do stowarzyszenia wstrzemięźliwości, nie używającego innego napoju. Towarzystwo liczne i bogate.

Zbliżyliśmy się o tyle, aby dobrze słyszeć mówiącego. Uczciwy rzemieślnik, w rzewnych i naturalnych słowach, opowiadał ciężką dolę robotnika, gdy go namiętność pijaństwa zwycięży, a za nią wejdzie nędza, upodlenie, choroba....

— „Każdy z nas, kochani słuchacze, może zarobić na tydzień od dwóch do trzech funtów*) Czyż to nie dosyć, aby żyć skromnie i wygodnie, mieć węgle na kominku, kawałek mięsa, szklanke

herbaty i książkę lub gazetę? — Czyż nie dosyć, aby z uskładanych oszczędności ubrać żonę jak misses, córki jak piękne miss, iść z niemi do parku, teatru, lub zrobić wycieczkę?“ — Po tych słowach towarzysza mowcy, uśmiechnęła się do nas serdecznie, a dwie ładne i rumiane miss, — spuściły oczy, bawiąc się parasolkami. Rodzina to mowcy, przyprowadzona na świadectwo prawdziwe słów propagandy.

— „Natomiast dziś, — kończył orator, — zostawiając choćby część zarobionych pieniędzy w szynku, jesteś pewny że za pół roku nie zostawisz połowy, a za rok całego zarobku? Jakież tego następstwa? Sam zdziczysz jak zwierzę, obojętnie patrząc na żonę w łachmanach, i rad będziesz, gdy córka twoja z nędzy i zimna opuści dom, idąc na ulicy sprzedawać się, aby, z zarobionych haniebnie pieniędzy, rzucić ci jałmużnę, którą zaniesiesz do szynku“.

Podczas tej mowy członkowie towarzystwa *Ti-totlerów* rozdawali kartki zadrukowane statutem stowarzyszenia i adresami biur, dla chcących się zapisać. Jak zawsze w Anglii: wszystko praktycznie i krótko.

— Z kolei rzeczy, należy nam jeszcze odwiedzić, — zdecydował kapitan, — i tych, którzy nie zarabiając trzech funtów na tydzień, nie mają ani przyzwoitego odzienia, ani na kupno miejsca w kościele, skutkiem czego drzwi świątyni wszelkich sekt i wyznań są dla nich zamknięte.

— Cóż w tym dniu porabia wasze towarzystwo, czyli arystokracja?

— Jeżeli w którym dniu mają zamiar nasze wysokie sfery obchodzić urodziny splinu, powinno na tę uroczystość wybrać niedzielę. Wszystko co w powszedni dzień uważane jest za oznakę dobrego tonu i obowiązków towarzyskich, w niedzielę staje się „szoking“. W dniu tym jeździć nawet do kościoła szoking — gdyż do dobrego tonu należy — mieć własną kaplicę. Oddawać wizyty — szoking, grać na fortepianie — szoking, w karty — szoking, jeździć konno lub na spacer — szoking, iść do klubu — szoking.

— Cóż nie jest nareszcie szoking?

— Nudzić się, to znaczy poświęcać się dla gminu, dla podtrzymania w nim wiary. — Starsi drzemają w fotelach, a młodzież czyta zawzięcie. Bogate mieszczaństwo, rade naśladować arystokrację, czyni to samo. Patrz w okno parteru tych dużych domów: oto Mister zagłębiany w myślach, Miss lub Misses z książką w ręku. Często się zdarza, że wiele samotnic niedzielnych wiadomości swoje zawdzięcza niedzieli. Niedoczytana książka w dniu tym, kończy się nazajutrz, a czasami i przez cały tydzień. Tym sposobem wytwarza się rozciekawienie, budzące potrzebę wiedzy.

— A toż co za chorągiew? — zawołałem zdziwiony.

— Rozpoznamy i to godło powoli — ze spokojem, nie zdradzającym najmniejszego podziwu, jaki tylko przystoi prawdziwym dżentelmenom, odrzekł uśmiechając się kapitan.

Nadchodźmy. Do przenośnej ambony przymocowano wysoki drażek czerwony, z powiewającą u szczytu chorągwią dwukolorową. Na niebieskiej części wydrukowane „Proroctwo Ezechiela“, a na czerwonej połowie „O rozszerzeniu Chrystjanizmu“. Łysy, niewielki człowiek, cienkim głosem opowiadał o wielkim wpływie misji w Japonji i w Chinach.

— Nie ulega najmniejszej wątpliwości, —

objasniał mnie kapitan, — że to pryczer najety, i płacony przez „*Christjan evidens sosajty*“*). Zamożne to i uczone towarzystwo wysyła ulicznych mowców na place publiczne, a na dysputy z bezwyznaniowcami swoich teologów, z których zawsze wychodzą ośmieszeni.

— Zkądże się rekrutują ich mowcy uliczni?

— Zwykle z rzemieślników, lub małych kramarzy, czytanych w Biblii; dostają oni funt na tydzień, za kazanie w niedzielę po południu, a wieczorami, w dniu powszednim. Słabi mowcy, lecz lekki to chleb, przytem silna protekcja, czy to do bogatego ożenienia, czy też w poparciu w interesach. Ha, na dole biznes, u góry bojaźń i ambicja wyzyskują gorącą wiarę i gotowość ofiary.

Wstępujemy na Szorediez. Niskie domki, wąskie uliczki. Na trotoarach przed domami leżą mężczyźni w grubym obuwiu i kostjumach nieco zaniedbanych, w towarzystwie stojących dam, przystrojonych w perkalowe, czysto wyprane suknie; lecz za to włosy ich w poetycznym nieładzie. Rozmowa przeplatana humbugiem, — toczy się około kwestji otwarcia szynków, na którą to chwilę oczekuje towarzystwo.

Nie ma jednak miejsca do którego nie trafi zapal religijny i zamilowanie do misji. Z jednej z uliczek wysuwa się miss zakwefiona woalem, podchodzi do leżącego robotnika, podając mu papier, na którym wydrukowany śpiew o miłosierdziu boskiem, przyrzeka rychło zmienić jego dotychczasowy stan, prawdopodobnie na tantym świecie, jeżeli wytrwa w cierpliwości.

— Dołóż do tego szylinga — odpowiedział spokojnie leżący na ziemi człowiek — to przyjmę.

— *Tenk-ju***) odpowiedziała zawołowana miss, głosem męczennicy, oddając tę samą kartę jednej z kobiet.

— *Go-avey, old frog*****) burknęła pracownica.

— *Tenk ju* — odpowiedziała poświęcająca się, kierując swoje kroki w chęci oddania tejże karty siedzącemu na progu, poślódkę na twarzy, zdaje się tragarzowi.

— Wiesz co — odezwał się tragarz, — dziecko moje słabe leży obok chorej matki. — Kaszle — nie skarży się nawet, nie ma już sił, a mnie z żalu serce pęka; — uciekam więc, aby nie patrzeć. Przynieś buljonu, lub kup lekarstwo.

— To nie mój biznes****) — odpowiada miss.

— W takim razie idź precz!

Oburzeniu tragarza towarzyszyły ciche, ale wymowne dodatki.

— *Tenk-ju* — odrzekła męczennica, idąc dalej, — lecz wszędzie ta sama odprawa. Nie przyjęto ani jednego egzemplarza.

— Czy to wszystko, — rzekłem do kapitana, co się robi dla waszego ludu?

— O nie, objawy, które teraz widzisz, są tylko hypokryzją i bigoterją, które lud przyjmuje, jak na to zasługują. W rzetelnym kierunku robi się bardzo wiele, zaczawszy od Pibodegg domów, a skończywszy na przymusowej oświacie, której skutki okażą się po dojściu do pełnoletności dorastającego pokolenia. Zresztą o tem wszystkim później — gdyż czas już i na mnie.

*) „Stowarzyszenie dowodów Chrześcijańskich“.

**) Dziękuję.

***) Idź precz, stara żabo.

****) Zajęcie.

*) 1 funt — 25 franków; 3 funty — 75 franków.

STUDJA O SZTUCE W POLSCE

ZA DNI NASZYCH,
skreślił
JÓZEF ROGOSZ.

(Ciąg dalszy.)

Artur Grottger.

II.

Scena na czwartym rysunku *Polonii* nie jest już dramatyczna, ale podobnie jak na pierwszym nad wszelki wyraz tragiczna.

Do zamożnego dworu szlacheckiego, przyjechał ułan w towarzystwie drugiego młodego człowieka; z ubrania możnaby wnioskować, że należą do rodziny. Prócz kobiet, dzieci i ośmdziesięcioletniego starca, nikogo więcej nie zastali. Zaledwie mieli czas kilka słów wymienić, gdy w tem na korytarzu dał się słyszeć szczelek broni. Inny wydaje dźwięk broni moskiewska, a inny polska; — zapewne szpieg jakiś sprowadził tu kozaków. W tak ważnej chwili, gdy idzie o życie całej rodziny — młody człowiek długo się nie namyśla; skoczyli też obadwa ku drzwiom, które z całych sił podpierają, bo Moskale chcą je już wylamać. Starszy trzyma w ręce rewolwer; ile ma w nim nabożów, tylu wrogów wpierv legnie, nim inni wejdą do środka. Po tych naprężonych muszkulach poznać, że ułan jest na wszystko przygotowany, zwłaszcza że mu idzie nie o niego, ale o żonę, dzieci, matkę, siostrę i sędziwego dziadka.

Podczas gdy to się dzieje przy drzwiach wchodowych, na środku salonu niemniej tragiczna odbywa się scena. Żona zsunęła się z fotelu na ziemię, a załamawszy ręce i podnosząc rozpaczliwy wzrok do góry, błaga Boga o miłosierdzie, o cud. Babka obok niej uklękła, i rękoma zasłania dwoje drobnych dzieci, które nie rozumiejąc jeszcze grożącego im niebezpieczeństwa, tulą się dosyć spokojnie, a jedno z nich, dziewczynka, nie wypuszcza nawet lalki; siostra w głębi zakryła sobie twarz rękami, sędziwy zaś dziadek powstał przy pomocy laski, i spokojnie, bez bojaźni, wpatruje się w rozpaczającą matkę, jakby jej chciał dodać sił i odwagi. On się nie boi — on już tyle przeżył, tyle wycierpiał i żył tak długo — że świat przestał mieć dla niego jakikolwiek powab. Dziś czy jutro, byle skończyć ucziwie — a jeżeli można z chwałą. Cała ta figura jest nowem arcydziełem Grottgera — bo od ogólnego zamieszania, ogólnej rozpacz i cudownie odbija bohaterskim spokojem. Twarz ułana należy do najcharakterystyczniejszych. Obok determinacji czuć w niej także bojaźń — uczucie wywołane nie miłością dla siebie, ale dla żony, dzieci, całej rodziny. Kompozycja, mimo że karton rozpada się na dwie połowy: na scenę przy drzwiach i drugą na środku salonu, nie przestaje być jednolitą. Co więcej, artysta postąpił tu sobie jak skończony dramaturg, który budując dzieło, zważać powinien, aby ostatnie dwa akta równały się doniosłością treści i akcji dwom pierwszym. Przy drzwiach widzimy tylko dwóch młodych ludzi, ale gwałtowne ich ruchy i olbrzymie zadanie jakie spełnić mają, robią z nich grupę tak silną, jak druga na środku salonu, złożona z sześciu osób.

Ze wszystkich kompozycji Grottgera, najmniej szczęśliwą jest ta, którą spotykamy na kartonie piątym.

Przed nami roztacza się rzadki bór sosnowy, przernięty małym strumykiem, a w nim widzimy włością zajętych grzebanie zabitych.

Dwie kobiety wyszły szukać tego, kto im był najdroższy: pierwsza syna, druga męża. Znalazły go niestety! Leży z piersią przestrzeloną, na pół nagi — bo go kozacy obdarli; przy nim broń potrzaskana. Matka padła na kolana, z głuchym jękiem: Boże, jakżeś mnie doświadczył! żona zaś zatrzymawszy się w tyle z boleści prawie skamieniała. Ton, że tak powiem, w jakim są utrzymane obie te postacie, jest nierównie niższy, aniżeli każdej innej w rysunkach Grottgera — a co do kobiety młodszej, to bez uchybienia dla wielkiego talentu Artura, z całą słuszością mogę powiedzieć, że lepiejby było dla jego sławy i sławy „*Polonii*,” gdyby ta biedna wdowa wcale tu nie stała. Słabo ona obmyślana, a odrażająco wykonana. Całość kompozycji ratuje tylko włością, stojący między kobietami, który z nabożnem skupieniem odnawia pacierz za dusze poległych.

Przejdźmy do rysunku szóstego.

Przez wieś jechali rano kozacy. Dowódca słysząc, że miejscowy właściciel, jakkolwiek nie bogaty, wedle sił wspiera powstanie, kazał dom otoczyć i pozwolił pohulać żołnierzom. Pohulali też dońcy ale po swojemu. Wymordowawszy całą rodzinę, złożoną z męża, żony, jej brata i drobnego niemowlęcia, zrabowali wszystko; a potem jakby wstydząc się własnej zbrodni, dla zatarcia jej śladów, podpalili dom i uciekli. W ślad za nimi przybiegli powstańcy — ale już było zapóźno. Jeden z nich, może starszy brat zabitego, przedarł się przez płomienie, wpadł do sypialni — ale w tej chwili oburącz zakrył sobie oczy, tak okropny widok u progu go uderzył.

Tam na połamanej łóżce leży mężczyzna. Na białej poduszce rysuje się tylko jego głowa, martwa — ale nie bez życia. Oczy wprawdzie zgasły, tchnienie uleciało, jednak wyraz twarzy wrzusa do głębi majestatyczną swoją powagą. Prawą rękę, kurczowo zaciśniętą, podniósł do góry, jakby jeszcze groził swoim oprawcom, lewą zaś przycisnął do piersi, pragnąc w niej wstrzymać oddech ostatni. Obok niego, na poprzek łóżka przewisała zabita żona. W białym stroju porannym trzymała dziecko przy piersi; kula zabiła ją i niemowlę. Padając wypuściła dziecko, które jak aniołek usnęło na ziemi snem wiecznym; sama została pół ciałem na łóżku, a głową i rękoma nachyloną nad dzieckiem — bo do chwili ostatniej przy niem głównie były jej myśli. Na ziemi, leży także jej brat, chłopiec może dwunastoletni. Jak cudownie wygląda ta blada twarzyczka, łagodna nawet po śmierci, jak wdzięcznie układają się palce tej ręki, rysującej się nad jego głową! Jak szlachetnie czuć trzeba, by skreślić taką postać!

Mimo tajemniczego uroku, rozlanego dokoła tej figury, głowa mężczyzny na poduszkach, podniesiona energicznym rąk ruchem, jest najpotężniejszą w całej kompozycji, nowem arcydziełem. Mniej szczęśliwie wypadł ruch kobiety, ze zwieszoną głową i szyją jak struna wyprężoną, bo tu dla prawdy artysta poświęcił piękno. Powstaniec przy drzwiach stojący nadaje życia tej smutnej krainie umarłych...

Połamane sprzęty, pootwierane kufry i szafy, otwarte okno, na niem wywrócony wazonik z kwiatkiem, wreszcie upadające belki i czarny dym ścielący się dokoła — wypełniają obraz smutny, pełen grozy tragicznej, ale tak wzniosłe obmyślany i wykonany, że ani chwilę nie staje się dla widza wstrętnym.

Długo bili się powstańcy, kilkanaście mie-

— A ja — odpowiedziałem, uśmiechając się, — mam zamiar pójść jeszcze na jedno kazanie.

— Spiesz się, spiesz! weź omnibus, a życząc ci zbudowania, przypominam wtorek: pójdziemy do klubu.

— Do widzenia! — zawołałem, gdyż w tej chwili ujrzałem nadjeżdżający tramwaj. Wskoczyłem, nie zatrzymując go w biegu i za kwadrans znajdowałem się w okolicach moralnego królowania mojej gospodyni wraz z jej bratem.

Jestem nareszcie na oznaczonym miejscu; podbiegam pospiesznie, przeciskam się przez zbity garstkę ludzi i słyszę, co następuje:

— „Bóg nie jest taki jak się wam zdawać może, a jak inni sądzą i dowodzą, bo im z tem dobrze!” — przymówka do anglikanów. — „Utrzymują w płochę naiwności swojej skierowanej ku wygodzie i ospalstwu, jakoby Bóg był zbyt dobry i nadto łagodny, tak łagodny jak oliwa, a dobry jak niesolone masło!”

Z tego porównania słuchacze domyśleć się mogą, że szanowny mowca jest handlarzem łagodzących wiktuałów, jak niesolone masło i oliwa. Czujemy, że przy sposobności tego wyrażenia, wymowny dżentelmen radby wyjąć z kieszeni surduta paczkę swych anonsów i rozdać otoczeniu. Niedziela i powaga zajętego stanowiska, cofają atoli w połowie drogi jego rękę, która z tem większym zamachem odsadza się w górę, a głos wtórując temu ruchowi, co raz więcej staje się donośniejszym.

— „Bóg jest dobry, dla dobrych, ale za to mściwy, nieubłagany, srogi tępiciel do ostatniego pokolenia, dla tych, którzy na jego gniew zasługują. Zetrze on ich dumę na proszek musztardy!” — Słuchaczom wolno robić przypuszczenie, że dżentelmen sprzedaje także i musztardę.

Przeczuwa to szanowny orator i licząc na dobre wrażenie powtarza z naciskiem: — „Tak, na proszek musztardy, mialkiej jak pyłek, żółtej jak złoto!” — Chciał dodać: jakiej tylko możecie dostać u Dżona Snape, Ner 2gi, Jud-street-Euston Road. Niedziela jednak i wysokie stanowisko mówcy ultra-prezbiterjańskiego ściskają mu gardło, co wywołuje silny rumieniec na szlachetnej twarzy dżentelmena, który umie go złączyć z oburzeniem na wrogów kościoła, wołając słowami proroka!...

Moja lendlejdy (gospodyni) stała tuż obok swego brata, trzymając jego kapelusz. Trzymanie kapelusza mowcy, należy do zaszczytów, które zwykle spełniają ukochane siostry, narzeczone, lub żony. Rozrzewnienie malowało się na poważnem obliczu misses, podniesionej do godności trzymania kapelusza brata-kaznodziei; uśmiech radości rozweselał jej twarz rumianą, ilekroć tłum się zwiększał, a oczy miały pio-runy, gdy potępieni, nie czekając końca, odchodzili.

Zobaczywszy mnie, raczyła wyróżnić z tłumu i skinieniem ręki przywołać do siebie. Zbliżyłem się z miną namaszczoną.

— *Luk ser* (patrz pan) to mój brat!

— Domyślałem się z podobieństwa rysów; a szanowna bratowa — dodałem — czy także obecna?

— Przyrzadza wieczerzę, na którą i Pana zapraszam; przyznam się, że to pospolita kobieta. — Niech każdy swoją cząstkę spełnia — dodała spuszczaając oczy ewangeliczna Marta i dla zmieniienia przedmiotu rozmowy wsunęła mi w rękę zadrukowaną kartę. (C. d. n.)

sięcy wrzała podjazdowa walka, na całym niemal obszarze dawnych ziem polskich — dopóki najwaleczniejsi nie legli snem wiecznym — dopóki nie brakło samej młodzieży. Wtedy nieliczne oddziały zaczęły ulegać przemocy; jedni szli na wygnanie, drudzy w syberyjskie śniegi...

Oto karton siódmy. Na nim widzimy, wśród jodłowego lasu, garstkę tych zdeterminowanych na wszystko bohaterów, którzy nie myśląc o poddaniu się, postanowili do ostatniej krwi kropli bronić narodowego sztandaru. Widocznie oddział został rozbity; pozostało ich niewielu. Pośrodku stoi wieśniak, trzymający sztandar; silnym głosem wzywa rozproszonych po lesie, aby się do tego znaku gromadzili. Moskwa naciera.... Jeden strzela, drugi patrzy odważnie, gotów każdej chwili do wystąpienia kuli zabójczej; trzeci, pochyliwszy się nieco, przyłożył palec do ust, szukając badawczym wzrokiem wyższego oficera między nieprzyjaciółmi; czwarty nabija, wpatrując się bystro w głąb lasu; w tyle jeden pada, a na samym przedzie widzimy ранnego, jak w ładownicy zabitego swego towarzysza szuka naboju. Z całego uzbrojenia został mu tylko pistolet... nabija go raz ostatni, wypali na kilka kroków, a potem legnie z drugimi. Ile głów, tyle tu odrębnych, a obok tego pełnych wyrazu charakterów.

Nie łatwiejszego, jak w tego rodzaju kompozycji popaść w naśladownictwo. Sceny jak ta, służyły już nie raz za temat celniejszym artystom. Grottger pojął ją atoli samodzielnie i z całą słuszością możemy przyznać, że nie naśladował ani jednego ruchu. Z drugiej znowu strony nie trudniejszego, jak utworzyć prawdziwą harmonję między tylą postaciami, zajętemi jedną tylko myślą; mogła tu nastąpić monotoność, albo co gorsze, rozbitcie kompozycji, na tyle odrębnych obrazków, ile osób. Tymczasem wieśniak ze sztandarem, postać najważniejsza, jest osią, każda z działających osób promieniem, a z wszystkich razem tworzy się pełne harmonijne koło.

Ostatni większy oddział powstańczy został rozbity, a z nim ostatnie uleciały nadzieje.

Artysta wprowadza nas znowu na kartonie ósmym i ostatnim do dworu szlacheckiego, w którym, prócz małego chłopczyka, same tylko znajdowały się kobiety. Właśnie przyszedł najświeższy dziennik, a w nim wiadomość, że Polska po raz drugi w tym stuleciu została pokonana. Zrazu kobiety nie chciały temu dać wiary; rzuciły nawet na stół dziennik z oburzeniem. Lecz nie długo to trwało, a wszedł powstaniec, z ręką na temblaku, i pani domu oddał list z czarną pieczęcią. Niestety! dziennik powiedział prawdę! Oddział rozbity, jedni legli, drudzy uchodzą. Między ostatnimi znajduje się i ten, którego kobiety pragnęły powitać, jako zwycięzcę. Któż określi ból, wywołany taką wiadomością? Zadania tego nie mógł się podjąć Grottger, dla tego twarze wszystkich kobiet zastąpił. Ta przycisnęła do oczu list świeżo odczytany, tamte trzy przy stole zasłoniły się chustkami — ostatnia przy oknie, jedną ręką o stół oparta, konwulsyjnie ciśnie chustkę do twarzy, a głowa jej podniesiona okazuje ból największy. To już nie płacz cichy jak innych, ale łkanie. Ona też musiała utracić najwięcej.... Kto wie czy ten list nie pochodzi od jej męża, skazanego odtąd na wieczne tułactwo....

Chłopczyzna stojący przy matce wpatruje się żałośnie i jakby z wyrzutem w odchodzącego powstańca. Serce go boli, że wszyscy płaczą,

i za złe bierze przybyszowi, że z tak smutną przyszedł nowiną. Lecz cóż on temu winien? Spełnił swój obowiązek, jako dobry przyjaciel i towarzysz broni — a teraz wychodzi, zaciskając usta, bo i jemu na płacz się zbiera. Wyjdzie, ale zaledwie próg przestąpi, gorzkie łzy mu się puszcza....

Kto widział arcydzieła sztuki, poczynawszy od greckich, a skończywszy na nowoczesnych, kto wpatrywał się w najrozmaitsze kompozycje, ten przyznać musi, że podobnej nawet śladu nie odkrył. Pięciu osobom na siedm zastąpić równocześnie twarze, a mimo to samem ciał poruszeniem ich boleść objawić, i nie popaść w maniery, przesadę lub nawet pospolitość, takiego szalonego skoku w sztuce może dokazać tylko genialny kompozytor. Przypatrzcie się temu kartonowi, a przyznacie mi słuszość.

Tu kończy się *Polonia* w r. 1863.

(C. d. n.)

BAŚŃ O „ŻYDZIE WIECZNYM TUŁACZU“.

Studjum według Helbiga.

(Dokończenie.)

Ostatniem opracowaniem legendy o „Żydzie wiecznym“ w niemieckiej literaturze, jest śliczny utwór Hamerlinga, jednego z najwybitniejszych teraźniejszych przedstawicieli germańskiej muzy. W poemacie jego p. t. „Ahaswerus w Rzymie“ główną właściwie osobą nie jest żyd wieczny lecz cesarz Nero. Ahaswerus zaś ukazuje się tylko jako uosobienie dziejowej Nemezis, jako nieznaną potęgą rozciągającą swoją władzę nad wszystkimi ludzkimi czynnościami. Ahaswerus jest silnym kontrastem Nerona: u tamtego góruje niezmierzona tęsknota za śmiercią, u tego zaś Faustowe pragnienie życia. Ahaswer przybywa do Rzymu, z którym wszystko umiera, aby tam wśród powszechnej śmierci żywot zakończyć... „W Rzymie jest śmierć wszędzie, jakkolwiek strupieszalość usiłują ukryć pod zewnętrznym kłamanym blaskiem, może mi się uda tam umrzeć.“ Chce Neronowi dopomóc w zakończeniu jego fatalnego przeznaczenia, obydwaj bowiem, jakkolwiek ich natury są różne, mają jednakowe zadanie do spełnienia: obydwaj pracują nad szybszym rozwojem ludzkości. Takich Tytanów zniszczenia, jak Nero, potrzebuję w pewnych chwilach historia, mianowicie wtedy, kiedy stare i strupieszale urządzenia społeczeństw mają ustąpić nowym; — potrzebuje ich zaś do spiesniejszego rozwiązania tymczasowego stanu. Dlatego też Ahaswer popycha ciągle Nerona do coraz to okropniejszych czynów, aby chwilę przełomu starych i nowych idei przyspieszyć. Nero może działać dla ludzkości tylko przez negację, przez siłę niszczącą: Ahaswer jest jego antypodem, reprezentuje on niezmienną prawdę w historii, jest dodatnią siłą. Ahaswer zachęca Nerona do podpalenia Rzymu, sam biega z pochodnią i podpala pałace i świątynie i wpada w płomienie, ale po to tylko, aby wyjść z nich nienaruszonym i okazać zdumionemu i rozwścieklonemu cesarzowi, że istnieje jeszcze coś na świecie, czego zniszczyć nigdy nie zdoła, co się w płomieniach jak feniks odradza i nabiera coraz to nowych i coraz piękniejszych kształtów, a tem jest wieczna ludzkość.

Nero czuje się w swojej dzięk, zwierzęcej siły równie mocnym, jak jego przeciwnik, wypowiada mu więc walkę na śmierć i życie, którą tenże z spokojną pewnością siebie przyjmuje. Godzina upadku Nerona nadchodzi, a powodem

tego jest przesyt, który ogarnia okrutnego Cezara. Spróbował wszystkiego, co mu dać mogła ziemia i Olimp, przyjemności nowej nigdzie już nie znajdzie, chyba w Hadesie. Za pomocą magii wywołuje z pod ziemi cienie zmarłych, ale upada z przerażenia, bo są to cienie niewinnych ofiar przez niego pomordowanych. Opuzczony od pochlebców i sług nawet, umyka w towarzystwie wiernego Germanina z pałacu i prowadzony przez Ahaswera spuszcza się w rzymskie katakomby, i tam właśnie natrafia na zgromadzenie Chrześcijan, swoich śmiertelnych nieprzyjaciół. Życie swoje ofiaruje ich zemście, ale dowiaduje się, że uczucia nienawiści nie znają, że jedynym ich prawem, które dla niego, największego egoisty, nie istniało, jest miłość nawet nieprzyjaciół. Po raz pierwszy zobaczył Nero — Boga, którego nie boją się, ale szanują i kochają. Przekonał się zarazem, że nie rokosz ale boleść świat ten odkupiła, uznaje boski pochod ludzkości i wzniosłą zasadę Chrystjanizmu, czując jednak, że nie może się ugiąć przed nową nauką, poświęca się bogom podziemnym. Jego żądza życia zmieniła się w tęsknotę śmierci, jak mu to Ahaswerus przepowiedział. W chwili śmierci Nerona zjawia się ten ostatni w zgromadzeniu Chrześcijan i opowiada, kim jest właściwie.

Ahaswer, który walczył z Chrystusem, żył oddawna na ziemi — liczy on tyle lat ile świat ich liczy. Jest on pierwszym dziećciem ludzkim, pierwszym rewolucjonistą, Kainem, mordercą brata swego. On to pierwszy sprowadził śmierć na ziemię, a ona za to z wdzięczności, a razem za karę oszczędza go i omija.

Każda jednostka, indywiduum, ma wrodzoną tęsknotę do spoczynku, który nakoniec znajduje w śmierci. Ludzkość żyć musi, walczyć i dążyć ciągle naprzód wśród cierpień i zawodów. Ahaswer jest personifikacją ludzkości, jego pragnienie śmierci, jest pragnieniem spoczynku ciągle postępującej ludzkości. Ahaswer Hamerlinga nie jest zatem żydem wiecznym, ale wiecznym człowiekiem.

Pojęcie to kazało poecie w konsekwencji dać mu tyle lat wieku ile ich ludzkość liczy. Dlatego zrobił z niego Kaina, pierwszego człowieka, który na widownię świata zbrodnię i śmierć wprowadził. W epokach, w których ludzkość szybkim krokiem dąży naprzód i walczy ze starymi formami, Ahaswera ogarnia szal i boleść; błąka się on wtedy szybko po świecie, napróżno usiłując choć na chwilę odpocząć, skoro zaś ludzkość spoczywa chwilowo po walkach i zwycięstwach, natenczas i on ma spokój — udaje się do skrytej jaskini i tam czasem przez wieki drzymie dopóki go nowe prądy cywilizacji nie zbudzą. Taką chwilę spoczynku uzyskał Ahaswer zniszczycywszy cezaryzm rzymski w osobie Nerona.

Przeszliśmy po kolei prawie wszystkie utwory niemieckich pisarzy, których treścią jest legenda o Żydzie wiecznym. Z tych na pierwszym miejscu postawić musimy Mozena, a na drugim Hamerlinga, tego drugiego zaś z tego powodu na drugim miejscu, ponieważ jak już o tem wspomnieliśmy, postać Ahaswera nie stoi w jego poemacie na pierwszym planie.

Literatura francuska posiada oprócz pomniejszych utworów poetycznych, których prawie w żadnym piśmiennictwie nie brak, dwa znakomite dzieła osnute na temacie legendy o Żydzie wiecznym. Mamy tu na myśli filozoficzny poemat Edgara Quinet p. t. „Ahaswerus“ i słynny

romans Eugeniusza Sue'go „Żyd wieczny tułacz.“ Poemat znakomitego profesora Collège de France pisany stylem Lammenais'go odznacza się głębokimi myślami i świetną fantazją. Co do formy, można go porównać z pisaniami prozą poematami Krasińskiego, jakkolwiek pod względem artystycznej całości, te ostatnie nieskończenie wyżej od niego stoją. Zdanie to podyktowało nam głębokie przekonanie, a nie zarozumiałość narodowa, od której nawiasowo mówiąc, powinniśmy się już raz odzwyczaić. Nad „Ahaswerusem“ Quineta, nie będziemy się bliżej zastanawiać, sami bowiem Francuzi nie rozumieją dobrze tego utworu; poświęcimy za to nieco więcej miejsca „Żydowi wiecznemu“ Sue'go.

Z dość wielką słuszością moglibyśmy powiedzieć, że jeżeli Żyd wieczny lęka się nieśmiertelności i będzie się błagać do skończenia świata po ziemi, ma to do zawdzięczenia Eugeniuszowi Sue i na niego też powinien się za to gniewać.

Sue stworzył niejako po raz wtóry Ahaswera i uwiłdowił o tem cały świat cywilizowany.

Któż z nas nie czytał „Żyda wiecznego“ Sue'go, nie zachwycał się Działmą, nie ubolewał nad srogim losem Adryanny i nie przeklinał przewrotnego Rodina? — Znakomity romans Sue'go wywarł w swoim czasie wielki wpływ na publiczność czytającą w całej Europie i uczynił autora najpopularniejszym powieściopisarzem swojego czasu. Nie chcemy przez to powiedzieć, aby Sue nie był znakomitym — owszem, ze względu na zachość myśli, świetną fantazję i głębokie znawstwo ludzi, uważamy go za jednego z najlepszych powieściopisarzy XIX wieku. Zdanie to nasze najlepiej poprzemy, skoro okażemy, jak świetnie zużytkował on legendę o „Żydie wiecznym“ i ile wlał w nią prawdy i poezji.

Ahaswer Sue'go, skazany przez Chrystusa na wieczne błaganie się po świecie, nigdy się nie starzeje. Jest to silny mężczyzna wysokiego wzrostu, smutnej i melancholijnej fizjognomji, o długich kruczonych włosach i tego samego koloru brodzie. Nie tylko on sam odbywa wieczną swoją wędrówkę; ma on towarzyszkę, wieczną żydówkę, której tę samą karę Bóg przeznaczył. Jest nią znana z historii kościelnej Herodias, która kazała ściąć św. Jana Chrzciciela. Oboje błakają się, ale każde osobno po ziemi; przebiegają pustynie, wdzierają się na urwiste skały, zawsze w srogich męczarniach mimowolnej wędrówki a zawsze młodzi i piękni.

Jeżeli które z nich, pod srogą boleścią upadając, wyda jęk rozpacz, natenczas towarzysz z drugiego końca świata odzywa się, łagodni cierpienie, i zachęca do wytrwania.

Co sto lat wolno im się raz widzieć i w prologu opisuje nam Sue takie spotkanie na biegu nie północnym. Do charakterystyki Żyda wiecznego Sue'go dodać jeszcze musimy, że ma on podeszwy nabite ćwiokami w kształcie krzyża: gdzie stąpi, wyciska na ziemi to znamie. W ślad za nim postępuje straszne widmo — cholera. Przeklina on ją, że wszędzie za nim dąży, jakkolwiek go ta straszna towarzyszka oszczędza.

Mistyczną postać Ahaswera splótł Sue z swoim romanssem w ten sposób, że uczynił go protoplastą familji Renepontów, bohaterów swej powieści. Równocześnie uczynił on Żyda wiecznego reprezentantem swoich socjalistycznych zasad i dążeń; Ahaswerus jest personifikacją nędzy robotników wyzyskiwanych przez bogaczy. Ahaswer był, podług opowiadania Sue'go, robo-

tnikiem i cierpiał wszystko co cierpi praca od wieków uciskana przez możnowładny kapitał. Gdy Chrystus przechodząc koło niego wyrzekł: „Cierpieć — on miał odrzec: „I ja cierpieć, a nikt mi nie przychodzi z pomocą. Nielitościwi czynią innych nielitościwymi. Idź!“ Za te słowa spotkała go kara wiecznej wędrówki, a on zapóźno zrozumiał boskie słowa Zbawiciela: „Kochajcie się wzajemnie“. I tak jak pierwszy człowiek przez grzech pierworodny skazał swoich potomków na śmierć i cierpienia, tak i on — wyrobnik, skazał wszystkich robotników na wieczną nędzę i boleści. Już od 18 wieków mówią ciągle możni do biedaków: Idźcie!, a oni idą — i cierpią. Ahaswer Sue'go nie występuje przeciw Chrześcijaństwu — i owszem zasadę Zbawiciela o miłości wzajemnej uczynił on swoim wyznaniem wiary. Jako prawdziwy Chrześcijanin walczy on z fałszywym Chrześcijaństwem, opierającym się nie na miłości, ale na nienawiści, a więc przeciw jezuityzmowi. Jezuiti Sue'go są potomkami faryzeuszów, tych arcywrogów Jezusa, są „fałszywymi kapłanami, którzy ludzkość chcą skazać na wieczne cierpienia.“

Sue kończy swój znakomity romans w ten sposób, że każe umierać Ahaswerowi i Herodjardzie, a tem samem każe mieć nadzieję rychłego rozwiązania kwestji robotniczej i zwycięstwa prawdziwego Chrześcijaństwa nad fałszywym. Herodias przyszedłszy do rozwalonego w gruzy opactwa św. Jana Chrzciciela, uczuwa nagle znużenie, modli się i po chwili spojrzawszy w źródło postrzega, że zaczyna się starzeć. Zniknęła jej wieczna młodość — może mieć nadzieję, że umrze. Tak samo stało się i z Ahaswerem, który zakończył swoją okropną pielgrzymkę u stóp krzyża na górze kalwaryjskiej. Obojgu pozwolił Bóg się połączyć; mieszkają oni obecnie w ustronnej chacie i oczekują na rychły koniec nieszczęsnego swego żywota.

Oto opracowanie legendy o Żydie wiecznym w sławnym romansie Sue'go. Smiało twierdzimy, że tak głębokiem, choć trochę tendencyjnym pojęciem tego podania, żadna literatura poszczycić się nie może. Żeby tak świetny myt o Ahaswerze przedstawić, potrzeba było tak gorącego serca, świetnej fantazji i mistrzostwa formy, jaką miał Sue.

Powiedzieliśmy poprzednio, że legenda o Ahaswerze, jakkolwiek jest znana w krajach słowiańskich, nie zrosła się jednak dość silnie z naszym duchem narodowym, dlatego też w naszej literaturze brak prawie zupełny utworów osnutych na tej tradycji. O ile nam wiadomo, posiadamy tylko dwie powieści, w których postać Żyda wiecznego, i to tylko epizodycznie, przechodzi. Mało u nas znany powieściopisarz Bogucki napisał w krótkce po ukazaniu się „Żyda wiecznego“ Sue'go, kilkutomowy romans p. t. „Rodin, czyli duch na drodze pokuty“, który ma być niejako kontynuacją powieści Sue'go.

Romans ten, zalegający obecnie najwyższe półki wypożyczalni książek, nie jest bez pewnych zalet; naśladuje w nim autor Sue'go, ale naśladuje go wcale udatnie, a pod względem fantazji dorównuje częstokroć swemu mistrzowi. Ahaswerus nie występuje w tym romansie osobiście, ale częste są o nim wzmianki i posiada niejako zastępcę w osobie zmarłego Rodina, który odziedzicza po Żydie wiecznym wszystkie jego atrybucje.

Słynny ze swoich dziwactw i głębokiej nauki, Jan Potocki, którego imię jako archeologa,

geografa i podróżnika znane jest i cenione w całym naukowym świecie, napisał dziwny, ale pod względem fantazji i erudycji znakomity romans p. t. „Le manuscrit trouvé à Saragosse“. Jest to coś w rodzaju arabskich „Tysiąca i jednej nocy“, niezmierna ilość powiastek płacze się tam w nierozgmatwany prawie węzeł. Jednym z takich epizodów jest takie własnostne opowiadanie Żyda wiecznego o swoich losach. Potocki pojmuje postać Ahaswera podobnie jak Sue; co na tem większą zasługuje uwagę, że pisał on swój „Manuskrypt“ na kilkadziesiąt lat przed francuskim romansopisarzem.

Opowiadanie Potockiego ma także bardzo wielką wartość pod względem naukowym; ze ścisłością historyczną przedstawia on stan społeczeństwa żydowskiego, egipskiego i rzymskiego za czasów Chrystusa. Dla tego polecamy to dzieło czytelnikom, znajdą w niem bowiem przyjemną, a zarazem użyteczną lekturę.

Pobieżny ten przegląd utworów osnutych na legendzie o Żydie wiecznym wykazuje nam, jak ona powstała i jak się następnie rozwijała, nabierając coraz to więcej barw i szczegółów. Z początku obrabiano tę legendę dla fabuły, następnie nabiera postać Ahaswera coraz to więcej cech indywidualnych, ażeby na koniec stać się alegorją. Głęboka myśl filozoficzna leżąca na dnie tego mytu, czyni go jednym z najpiękniejszych, na jakie się ludzkość zdobyła. Nie chcąc nużyć czytelników, ograniczymy się na zakończenie na podaniu prawdziwej myśli tej legendy i wyreczymy się w tym względzie słowami Hamerlinga:

Cudowne łono macierzyńskie myśli,
Niewyczerpanem jest po wieki wieków.
Choć się rozpadnie w gruzy świat przeżyty,
Miłość ludzkości znowu go odrodzi!

Bolesław Czerwieński.

PAMIETNIKI z r. 1831,

Ignacego hr. Komorowskiego.

Korpus Umiński.

(Ciąg dalszy.)

Wzgórze nie wielkie, w środku pola, które sobie obrał Generał, bo z niego mógł widzieć na wszystkie strony, tak ostrzeliwali Moskałe, że ziemia prawdziwie była poorana kulami. Koń Generała, śliczny angielski ogier, ze stajni cesarskiej, dostał kontuzję w głowę i nie dał się kierować. Za frontem w lasku koło karczmy, stały nasze luźne konie; major Helbich, starszy adjutant, poskoczył, żeby innemu Generałowi przysłać, a sam został w lesie, bo go te gęste kule nudziły. Ogień ustawał, i kiedy już tylko co parę minut strzelali, mój major, pełen otuchy, z tą miną wraca; ale ostatni granat moskiewski pęka koło niego, i wsrubowuje mu małeńki, jak laskowy orzech, odłamek granatu w dobrze wypasione udo... Śmieliśmy się nielitościwie, bo tam gdzie najwięcej poorana była ziemia, nikt ranny nie był; Generał tylko upominał, ażeby nie razem, ale rzadko stać od siebie.

Dybiczył ten rekonesans w 40.000 ludzi, a zastawszy pod Jędrzejowem silny opór, chociaż nie liczne wojsko, był tego przekonania, że ma do czynienia z przednią strażą głównej armji; bał się zasadzki za lasem, a zobaczwszy, że my się ku Mińskowi cofać po szosie zaczynamy, dawszy nam na pożegnanie kilka

jeszcze armatnich strzałów, sam się cofnął do Suchej; gdzie 5 dni stał jeszcze, nie wiedząc o wyprawie Naczelnego Wodza na gwardję.

General Umiński, w czasie ostatniej swej bytności w Jędrzejowie dostał rozkaz od Naczelnego Wodza, ażeby swoim korpusem zastąpił Warszawę, która mogła być ucieczką od Siedlec przez korpus Pahlana II. lub od Kocka przez zbliżającego się Riedigera. O tym rozkazie nie raczył Naczelnny Wódz wspomnieć, powróciwszy po niefortunnej wyprawie na gwardję, i strasznej ostrołęckiej bitwie. Ale o tem, potem. Zostawiliśmy grangardy piesze i konne dla patrolowania, i pomaszerowaliśmy do Dembe wielkie, gdzie korpus cały na noc się rozłożył. Za wsią, na szosie, usypano 2 małe baterijki do ostrzeliwania drogi, na wypadek, gdyby nieprzyjacieli chciał się posuwać do Mińska. Nazajutrz rano przeniósł się nasz sztab do Brzezin, wsi po lewej stronie drogi leżącej, na wysokości Miłosny.

Na dzień 16go Maja przypadały imieniny Generala; chcieliśmy go zatem fetować, i tak urządzono, że adjutanci i oficerowie sztabowi dadzą dla niego śniadanie; co się uskuteczniło, ile możności w obozie, elegancko. Stałiśmy w bardzo porządnym domku; sapery porobili z brzeziny na przedce altanki i siedzenia; muzyką gwardji grenadierów kierował porucznik Józef Godebski. Fredro i Goszczyński improwizowali poezję; cukiernik Szymański z Warszawy dostarczył jedzenia i napojów, a szampan, który obficie płynął, dobry utrzymywał humor. To śniadanie przeciągnęło się do późnego wieczora; General był w doskonałym humorze. Na drugi dzień, zaprosił generała i nas wszystkich z pułków gwardji na podwieczorek, który się także bardzo pięknie i wesoło odbył. Trzeciego zaś dnia, pułkownik Łempicki, dowódca 15go liniowego pułku, zaprosił znowu nas na wieczór do swego obozu, i bardzo suto wystąpił. Szampan płynął bardzo obficie i wielka robiła się wrzawa. Ognie palące się między drzewami w lasu brzoźowym bardzo malowniczo przedstawiały grupy wesołe.

Koło jednego z tych ogni stali: gen. Andrychiewicz i podpułkownik Grębecki z 15go pułku, a przypomniał sobie jakieś dawne urazy, jeszcze z czasów, kiedy Andrychiewicz z pułkiem stał we wsi Grębeckiego, który wtenczas spokojnie sobie gospodarował, zaczęli się przemawiać; potem kłótnia co raz żywszą się robiła, a obydwaj mocno pijani będąc, zdaje mi się, że nie wiedzieli dobrze, o co im chodzi. Wszyscy obojętnie poustępowali, nie chcąc być świadkami rezultatu tego zatargu, bo ci już bardzo blisko do siebie przyskakiwali. Ja w cieniu pod drzewem stałem, patrząc na tę scenę; nakoniec przyszła mi bardzo niedorzeczna myśl do głowy: podsunąłem się cicho pod kłócących, i w chwili kiedy rozjuszeni prawie się już dotykają siebie, rozciągnąłem ramiona, a porwawszy jednego i drugiego za plecy, rzuciłem ich w objęcia jednego drugiemu; sam zaś skokiem w tył szybko się zrejęterowałem i w cieniu czekałem końca.

Co się w tym momencie zdawać musiało obudwom zapaśnikom, ani ja, ani oni nie wiedzieli i nie wiedzą pewnie; lecz ten mimowolny karambol, sprowadził serdeczne uściskania i rozczulające, aż do łez, oświadczenia przyjaźni i serdeczności. Jak skoro goście zobaczyli, że z kłótni nagle nastąpiła zgoda — i wojujące strony pod rękę chodzą, ucieszyli się mocno, a pułkownik Łempicki kazał podać szampana, żeby uczcić tak

błądą chwilę. Ja bałem się przy tej zgodzie figurować, i z Generałem udaliśmy się do naszej kwatery.

General, *en homme du monde*, nie chcąc, żeby taki podwieczorek zmieniał zwyczaje domowe, zaprosił po drodze kilku wyższych oficerów do siebie na wieczerzę, której co prawda nikt nie potrzebował; a ujrawszy swego oficera ordynansowego, Niemojewskiego, rzekł do niego, żeby zaprosił także pułkownika Russiana, dowódcę 3go pułku strzelców konnych. Russian stał w Kałuszynie, prawie o 3 mile od Brzezin, a że to był oficer bardzo czynny i ogledny, więc nie czekając końca fety, pojechał do pułku. Niemojewski rozmarzony, łapie posyłkę z 4go ułanów, i każe gonić pułkownika i prosić do Generala. Posyłka poleciał, ale że Russian także konia nie żałował, więc dognał go dopiero w Kałuszynie w chwili, kiedy się pułkownik już położył. Służbista okrutny, nie wiedząc, o co chodzi, i rozumiejąc, że coś ważnego zająć musiało, każe siodłać świeżego konia i pędzi do Brzezin. Przyjechał już po 2ej w nocy; wszyscyśmy spali w najlepsze, bo służba obozowa w naszym korpusie wzorowo była prowadzona, (czego w innych korpusach nie było). Russian budzi Generala i zapytuje o rozkaz; General przypominał sobie, że Niemojewskiemu kazał go prosić na wieczerzę — kazał Niemojewskiego zbudzić, i w obecności pułkownika zlażał go niemiłosiernie; wszyscyśmy przez kilka dni bawili się Niemojewskim, tak dalece, że niezadługo prosił o przeniesienie go do pułku ptockiego, żeby ująć dotkliwych sarkazmów. Dobry to był chłopiec, ale nadzwyczaj niezdatny oficer. Na jego miejsce dostaliśmy Rembowski, z legji poznańskiej, byłego porucznika landwery pruskiej. Stałiśmy jeszcze kilka dni spokojnie, bo Dybiec w Suchy jak lis w norze, zawarował.

Za parę dni, w wieczór majowy, kiedyśmy sobie z Generałem siedzieli na ganku dworu naszego, widzimy że zbliża się do nas czterech pułkowników jazdy. Zobaczywszy nas z Generałem siedzących, poskoczyli i zsiadłszy z koni raportują, że rano posłali furgony do Miłosny, gdzie były magazyny furazju, że furgony wróciły z niczem, bo im oświadczył główny intendent Deibel, że furazu nie ma; a tu cała dywizja kawalerji bez ziarnka owsa i poreji siana. Byłem znowu tego dnia na służbie, General obraca się do mnie: „Ecoutez Komorowski, prenez un demi peloton du 4 lanciers, allez en toute hâte à Miłosna, et dites à ce coquin de Deibel que, si nous n'avons pas de fourage jusqu'à 9 heures de matin, demain, il sera pendu ici à 11 heures.“ Poleciałem do plutonu służbowego, kazałem się na koń; mój już czekał. Pojechaliśmy klusem do Miłosny, o pół mili od Brzezin. Kazałem ułanom obstać dom zajmowany przez intendenta, z rozkazem żeby nikt nie wyszedł; wszystko to odbyło się cicho, a sam wchodzę do pokoju. Zastaję Deibla i kilka innych pijawek wojska, siedzących przy sutej kolacji i szampań. Jakem wszedł, Deibel powstał, przywitał mnie uprzejmie, i prosił, żebym z nimi zasiadł do kolacji. „Z największą chęcią — powiedziałem — ale poprzednio muszę panu oświadczyć przyczynę mojej niewczesnej wizyty“ i opowiedziałem mu rozkaz Generala, który, rzekłem, jak panu wiadomo, nie żartuje; poprowadziłem go do okna, i pokazałem, że dom otoczony, i że jeśli rozkazowi nie uczyni zadosyć, wezmę go z sobą do sztabu. Mój Deibel, zwykle apo-

plektycznie czerwony, pobladł jak chusta, ale zebrawszy raptem myśli, odpowiedział: „W tej właśnie chwili nadszedł mi spodziewany furaz; zaraz go wydać każę, tymczasem niech pan siada.“ (C. d. n.)

POGADANKI.

IV.

Rozmowa o pogodzie należała dotychczas do zajęć jak najmniej zabawnych, a najbardziej oraz próżniaczych. Prowadzono ją bez myśli i systemu, w braku czego lepszego, i zapomniano o niej tak prędko, że przy każdej sposobności ten i ów twierdził, jakoby „nie pamiętał takiego lata, albo takiej zimy“ — gdy tymczasem mógł być pamiętać doskonale niejedno niezwykle zjawisko w przyrodzie, którego dożył. Zdaje się, że uczeni francuzcy postanowili wykorzystać ten zły nałóg i zmusić nas do rozprawiania o deszczu, śniegu, zimnie i cieple z takim uszanowaniem dla ich powagi, jakie czujemy, mówiąc o zaćmieniu słońca, o przejściu Wenery poprzed jego tarczę, albo o kometach. Przepowiedzieli oni zimną, które mieliśmy w tegorocznym maju, a na początek października wykazali jak dwa a dwa cztery, że musimy mieć słotę z powodu, iż słoneczny przypływ morza zszedł się z księżycowym. Tak to dyletantyzm traci ciągle grunt pod nogami i wkrótce jedynym polem, na którym będzie mógł poruszać się śmiało i bez obawy przed specjalistami, zostaną sprawy administracji autonomicznej... Sprawy te z natury swojej stanowią wyłączną dziedzinę dyletantyzmu; jeżeli się bowiem nie mylę, autonomia gmin i powiatów polega na tem, by o każdej kwestji rozstrzygał ten, co się na niej nie rozumie.

To mnie ośmiela do poruszenia sprawy, która wprawdzie z jednej strony ma styczność z wilgocią i jej skutkami, a więc ulega rozpoznaniu i decyzji ludzi fachowych; ale z drugiej strony należy do autonomicznego zakresu działania gminy, i my przeto, jak powiada *Szczutek*, „będziemy same“ o niej rozstrzygali. Chodzi mi mianowicie o ogród miejski, *vulgo* pojezuicki, który jest jedną z największych ozdób Lwowa; sam zaś pozbawiony jest, równie jak cała nasza okolica, najpiękniejszej ozdoby każdego krajobrazu, tj. wody. Na dawnych planach miasta widzimy najpierw sadzawkę w miejscu, gdzie znajduje się obecnie realność hr. Potockiego przy ulicy Kopernika — a z sadzawki tej strumyk płynący ku dolnej części ogrodu pojezuickiego, i tworzący tam trzy jeszcze małe stawki. Wszystko to z czasem zabudowano i zasypiano; ale woda, przemocą usunięta z powierzchni, nurtuje ziemię, niepokoi piwnice, wsiąka w mury i całą tę część miasta czyni bardzo niezdrową. Lekarze zabraniają chorym przechadzki po dolnej części ogrodu i mieszkania w tej stronie. Nowe domy stawiać można jedynie z wielkimi trudnościami i bez nadziei, że będą trwałe. Wszystkiemu temu możnaby zapobiedz, gdyby przemieniono w basen obszerny gazon, zajmujący najniższą położoną część ogrodu miejskiego. Basen taki o wycementowanym dnie, pięknie obmurowany, przesłicznie ozdobiłby ogród. Łabędzie pływałyby po nim, albo w braku łabędzi, młodzi wieszczę, zwabieni bliskością ulicy „Słowackiego“, spiewający hymny na cześć Rady miejskiej, iż mogą pluskać się w ulubionym swoim żywiole. Uwolnione zaś od tego żywiołu

kamienice sąsiednie mogłyby stać się miejscem urodzenia i pobytu mniej wodnistej rasy autorów, i ztąd pożytek dla piśmiennictwa ojczystego byłby ogromny.

Jeszcze większe korzyści pod każdym względem przedstawiałby taki basen w zimie. Najpomyślniej ze wszystkich naszych stowarzyszeń rozwinięte towarzystwo łyżwiarzy urządziłoby w ogrodzie pole swoich popisów; a rodzice chętniej pozwalaliby córkom przekonywać się tutaj, jak śliska bywa czasem droga żywota, niż za miastem, gdzie panują ostre przeciągi i gdzie tak łatwo o fatalne przeziębienie. Festyny urządzone na lodzie, z ogniem bengalskim i muzyką wojskową, przybrałyby zakrój uroczystości ludowych i ożywiałyby miasto niezmiernie. O takie zaś ożywienie, o urozmaicenie przyjemności, jakie znaleźć można w mieście, ojcowie jego powinni być jak najbardziej dbałymi, bo od tego zawisł rozwój miasta. Któż nieprzymuszony osiadł tam, gdzie nie go nie czeka, oprócz nudów?

Galicja zawdzięcza większą część swoich wad i wszystkich tych złych przymiotów, o które ją obwiniają, tej okoliczności, że nie ma jak Królestwo ogniska, któreby przyciągało i wabiło do siebie zamożne i wykształcone rodziny z całego kraju. Nie ma ona po prostu stolicy we właściwym tego słowa znaczeniu, t. j. nie ma miasta, któreby było nie tylko siedzibą władz, szkół, i zakładów finansowych; ale także siedzibą pewnego wspólnego wszystkim zawiązku życia towarzyskiego. Towarzystwo warszawskie stanowi niejako kadry, obejmujące kraj cały i mobilizujące go o pewnej porze roku. Towarzystwo to nie może obejść się bez podniety umysłowej, bez której obchodzą się wybornie nasze kółka i koterje. Ztąd Warszawa wzrasta wśród najniekorzystniejszych warunków, wciąga w siebie soki żywotne z całego kraju, i potężnie oddziałuje nań nawzajem; podczas gdy Lwów i Kraków, mimo pozornego chwilami ruchu, odznaczają się martwością i biernością. Najlepszym tego dowodem jest prasa periodyczna. W Warszawie wychodzą dwa piśmka lokalne, z których każde ma po 6.000 abonentów, podczas gdy lwowskie wielkie dzienniki polityczne liczą ich zaledwie po półtrzecia tysiąca, a w Krakowie drugie piśmko, obok *Czasu*, utrzymać się nie może; sam zaś ten patryjarcha prasy galicyjskiej tak mało ma stosunkowo koło czytelników, że wstyd wspominać o tem. Świadczy to najlepiej, jak mało prowincja zajmuje się u nas miastami swojemi głównymi, i jak mało te miasta zajmują się same sobą. Zawsze atoli w ostatnich latach daje się czuć i w Galicji coś na kształt postępu w tej mierze. Nie pomyślę się może, jeżeli ten początek postępu przypiszę odczytom dla kobiet, urządzanym od niedawna. Odczyty te wprowadziły w koła rodzinne chęć zajmowania się naukami, sztuką, piśmiennictwem. Ich to zbawiennemu wpływowi przypisać należy, że książki takie, jak n. p. *Estetyka* Lemckiego, tłumaczona przez p. Br. Zawadzkiego, znalazły odbyć niespodzianie wielki, że przekład *Odysei* Siemieńskiego, zbiorowe wydania pism Kraszewskiego, Korzeniowskiego i Kaczko-wskiego, znaleźć można w domach, gdzie do niedawna nie widać było innych druków, oprócz kalendarza. Wydawcy postrzegli rychło nowy ten prąd i już mnożą się tygodniki — obok *Tygodnia*, zaczął wychodzić *Ruch* z tym samym

programem, jeżeli pominiemy pewne jego niejasne aspiracje panslawistyczne, objawione z powodu kongresu urządzonego w Kijowie przez moskiewskie ministerjum oświecenia publicznego. Wszystko to świadczy o budzącem się życiu, i byle wydawcy dawali swojej publiczności to, co ona chce czytać, a nie to, co jej autorowie czytać każą, znajdzie się miejsce dla każdego.

Ponieważ niewątpliwie odczyty publiczne, zwłaszcza te, w których biorą udział kobiety, najmocniej przyczyniły się do tego zbawiennego zwrotu, więc życzyć nam wypada, byśmy ich mieli jak najwięcej tej zimy. Dotychczas jest mowa o całym szeregu wykładów na korzyść teatru polskiego w Poznaniu. Oprócz prelegentów lwowskich, można się spodziewać i przyjezdnych; a tak, kto przybędzie przepędzić karnawał we Lwowie, znajdzie nie tylko zabawę, ale i pożytek w tem, co mu miasto dać może.

Nie wiem, czy który z naszych profesorów i uczonych zechce nam opowiedzieć nieco obszerniej o roślinach mięsożerczych, które zaciekały temi czasy najmięsożerniejszy pod słońcem naród angielski. Profesor dr. Hooker zdawał o nich sprawę publicznie w Belfast, na zgromadzeniu brytańskiego stowarzyszenia naukowego. Badał on te rośliny, wspólnie z Darwinem, w królewskim botanicznym ogrodzie w Kew, gdzie jest ich kilka gatunków. Mają one liście lub łodygi stulające się naksztalt warg, porośnięte włoskami, wydzielającymi rodzaj płynu trawiącego. Owad lub kawałek mięsa wołowego, gdy się dostanie między te wargi, ściśnięty bywa natychmiast i przetrawiony za pomocą owego płynu — podczas gdy roślina wyrzuca natychmiast kamyk lub kawałek wapna itp. gdy go się jej poda. Profesor Hooker dowodzi, że rośliny te posiadają nie tylko system muskularny, ale i nerwowy, i że stanowią, na mocy swojego wewnętrznego ustroju, ciekawe przejście między królestwem roślinnym a zwierzęcem. Piśmo ilustrowane angielskie, *Graphic*, umieściło rysunki, przedstawiające ośm gatunków takich roślin, które można karmić bifsztykami i które naksztalt małych drapieżnych ptaków polkają muchy, komary i inne nieostrożne stworzenia, awanturujące się w ich pobliżu. Całe szczęście, że niesamowite te potwory roślinne nie są dość wielkie, by mogły być pożreć ciekawych i uczonych badaczy — ale już się znalazł, nie wiem czy nie jaki Münchhausen angielski, który twierdzi, że widział w Afryce i takie cuda. Jeżeli spostrzeżenia dr. Hookera okażą się mylnymi, przybędzie nowy dowód zwolennikom filozoficznego systemu Montaigne'a, według którego umysł ludzki zbyt jest niedoskonałym, by mógł polegać na swoich badaniach i sądach.

Nie pamiętam już który podróżny, Francuz czy Niemiec, zachwycał się w Warszawie pietyzmem tamtejszej publiczności, objawionym przy sposobności występu jednego z weteranów sceny polskiej. Staruszek nie domagał już i nie mógł grać dobrze, mimo to widzowie, pamiętni jego zasług, nie szczędzili mu kwiatów i hucznych oklasków. W podobny sposób znalazł się teraz Paryż, urządzając benefisowe przedstawienie na dochód Wirginii Déjazet, słynnej niegdyś przedstawicielki ról takich, jak np. Markiz de Létoriere, a obecnie ośmdziesięcioletniej staruszki. pogrą-
* * *

nej w ostatniej nędzy. Żył się lekko i hucznie, przeżyło się krocie i miliony. Zbierało się hołdy w najróżnorodniejszej i najponętniejszej postaci — ale nie zebralo się nic na starość. Jeszcze za konsulatu pierwszego Napoleona, Déjazet debutowała w teatrach paryskich — rodzaj jej talentu stworzył osobny dział literatury dramatycznej, nawet osobny teatr, ochrzczony jej nazwiskiem. Śpiewała, tańczyła, śmiała się — a tymczasem lata upływały, z niemi zmieniał się smak Francuzów — nie na lepsze — i powoli, mimo zaciętej walki z wiekiem własnym i wiekiem XIX, Déjazet poszła w zapomnienie. Przypomniano ją sobie teraz, podczas septennatu. W *Théâtre français* urządzono przedstawienie składane, w którym wzięły udział wszystkie towarzystwa teatrów paryskich. Zakończenie stanowił obraz, w którym figurowała Déjazet otoczona dzisiejszymi gwiazdami, wschodzącymi lub zachodzącymi na widnokręgu lekkiej dramatycznej sztuki francuskiej: pp. Théo, Ugalde, Judic, Schneider, Silly, Legault itd. Drzącym głosem odśpiewała staruszka „Lisette“ Bérangera, którego była faworytką — a wśród rzewnych wspomnień, wywołanych tym śpiewem i nazwiskiem autora, deputacje artystów wszystkich scen paryskich, przebranych w kostjумы najlepszych swoich ról, składały weterance u stóp wieńce i bukiety. O trzeciej rano skończyło się to przedstawienie — artyści w liczbie około 400, w kostjumach swoich wracali wśród tłumów publiczności do domu. Czysty dochód z przedstawienia wyniósł 60.000 franków, za które kupiono beneficjentce rentę roczną, bo zachodzi obawa, że wobec jej „młodzieńczego“ braku gospodarności, suma ta nie wystarczy, by jej zapewnić śmierć spokojną.

A my wymagamy od naszych artystów aby z 12.000 złr. subwencji prowadzili przedsiębiorstwo teatralne, i aby przytem zawsze dobrze i pięknie wyglądali!

J. Lam.

Słowo w sprawie teatru lwowskiego.

Mało jest instytucyj tego rodzaju, od którychby równocześnie więcej wymagano, a mniej im dopomagano do zadośćuczynienia wszechstronnemu i trudnemu zadaniu, jak teatr lwowski... Wymagają po nim, ażeby przedstawiał: tragedje i opery, dramata i komedje, operetki i sztuki ludowe; wymagają po nim, ażeby miał repertuarz zawsze świeży, urozmaicony i doborowy, ażeby przedstawiał zarówno nowe oryginalne sztuki polskie jak i nowości zagraniczne, ażeby miał artystów pierwszorzędnych i śpiewaków pierwszorzędnych, ażeby... mój Boże! czegoż to nie wymagają tacy krytycy samorodni, oficjalni i nieoficjalni! Nie roztwarzając w tej chwili, o ile te wszystkie wymagania są uprawnione lub nie, zapytalibyśmy tylko tych surowych zoilów, ażali wiedzą, co znaczą te ich żądania, przetłumaczone na język kasowo-administracyjny? Oto nie więcej, jak tylko tyle: ażeby teatr lwowski rozporządzał personelem artystycznym liczniejszym i wyborowszym, niżeli jakikolwiek inny teatr europejski; ażeby posiadał garderobę, rekwizyta i dekoracje liczniejsze i bogatsze, niżeli jakikolwiek inny teatr europejski, ażeby posiadał bibliotekę teatralną lepiej zaopatrzoną, niżeli jakikolwiek inny teatr europejski... Każdy bowiem „inny teatr europejski“ ma pewną specjalność, poświęca się zazwyczaj jednej tylko gałęzi sztuki dramatycznej, t. j. przedstawia albo same tylko poważne sztuki: tragedje i dramaty, albo też same opery w wielkim stylu, albo też same lekkie operetki i wodwile, lub też komedje; gdy przeciwnie od teatru lwowskiego wymaga się, ażeby uprawiał wszystkie te rodzaje i ich odcienia, i to jeszcze w sposób wytrzymujący surową krytykę!... I jakąż, prócz samowznależej, często i niewyrozumiałej krytyki, otrzy-

ma pomoc, jakież wsparcie materialne do pokonania tylu i takich trudności?... Inne teatry europejskie, przy daleko pomyślniejszych warunkach bytu, otrzymują wysokie subwencje z funduszów krajowych i z funduszów miejskich. Statystyczne daty w tej mierze, zbyt już często przytaczane były po dziennikach, ażeby potrzeba było jeszcze raz je tutaj powoływać na świadków. A teatr lwowski?... Kilka tysięcy subwencji, wyzebrywanej rok rocznie od sejmiku, jak wielką łaskę, które zaledwie wystarczają na opłacenie czynszu i rekwizytów teatralnych!... Teatr krakowski przy mniejszych potrzebach i mniej ścisłej kontroli, o wiele lepiej jest subwencjonowany. Lwowski zarząd miejski nie poczuł się dotąd jeszcze do obowiązku uczynienia czegokolwiek dla teatru, z którego przecież najwięcej korzysta samo miasto... Wszystko to zresztą są rzeczy stare i wszystkim znane, i nie powtarzalibyśmy ich tutaj, gdyby nie doszła nas wieść (chcemy wierzyć, iż nieprawdziwa lub przesadzona, ale zawsze zatrważająca) o intrygach, knowaniach przez nieprzyjaciół obecnego zarządu sceny lwowskiej, mających na celu skłonienie Izby poselskiej do odmówienia w tym roku nawet tego lichego wsparcia, jakie co roku uchwałała dla teatru lwowskiego... Wierzmy silnie, że Izba poselska nie usłucha tych nieczystych i nierozumnych podszeptów, i nie tylko nie odmówi, ale przeciwnie, jeśli będzie mogła, podwyższy roczną subwencję, (czego powikłany niedawną burzliwą przeszłością stan materialny teatru lwowskiego niezbędnie wymaga) pozostawiwszy jednak te same warunki i ten sam sposób jej wypłaty, jak w zeszłym roku. Jeżeli który z dotychczasowych zarządów, to właśnie obecny, zdaniem naszym, największą daje rękojmię, że uchwalony fundusz użyty zostanie z prawdziwą dla sztuki korzyścią i z istotnym pożytkiem dla tak ważnej jak teatr tutejszy instytucji narodowej. Zaufanie rządu, jakie uzyskało obecne kierownictwo teatru lwowskiego, powinno w tym wypadku utorować mu drogę także do zaufania ze strony sejmiku. Pierwsze kroki jego dotychczasowej działalności również przemawiają za tem.

Piśmiennictwo polskie.

RECENZJA

Dr. Karola Libelta.

(Ciąg dalszy.)

(*Panteon wiedzy ludzkiej, Bronisława Trentowskiego. Tom I. Nakład Żupańskiego, Poznań, r. 1874.*)

Nie równie interesowniejszą jest ta część kosmognozji, którą autor „heliostatyką“ nazywa; mianując „światło, ciepło i ogień“ wszystkich niebios iścizną. Są to istnienia bezwzględne, przenikające nieprzenikliwe ciała, są więc siłą, planetarnym duchem. Z drugiej strony działają cielesnie. „Już jasność, jako zmysłowa, stoi materialności światła za świadka.“ (str. 249). Podobnie dotykalskość ciepła stoi materialności jego za dowód. Nie będąc ani ciałem ani duchem, są istnieniem niebieskim, kojarzającym w sobie świat materji ze światem ducha. Światło to promienica pańska, rzucona w świat ten; ciepło to technie pańskie, tworzące powszechny żywot. Światło przemienia się w ciepło, a ciepło we światło. Promienie ich nie są widne. Uleć słoneczna nie umniejsza światelnej istoty słońca. Ona jaśnieje dopiero za dotknięciem się ciał gęstszych. Ciepło jest uleć planetarna, oddziaływająca na słońce. Jeżeli światło solarne wydobywa z ziemi ciepło planetarne na wierzch; to znowu to ostatnie wyciąga i pije ze słońca światło. Ciepło planetarne po promieniach słonecznych z tą samą koniecznością udziela się słońcu, z jaką światło przybywa na ziemię. Przewodnikami światła są djament, kryształ, szkło i drogie kamienie; przewodnikami ciepła — kruszce. Bo między tymi a tamtymi zachodzi polarność.

„Gień“, zwany flogistonem, to hymen światła z ciepłem, czyli światło słoneczne ożenione z ciepłem planetarnem. Jest to już rzeczywistość a zatem widzialna jasność gorąca. Świecą nią słońca, planety, księżyce i komety. Z czego wypada, że każde ciało niebieskie ma nie tylko słoneczne, ale i własne światło. Jak ujemnia światła jest ciemność, ciepła zimno; tak ujemnia geniu jest „cień.“ Skupiony soczewką szklaną gien, daje żar i zapala „ogniem“ ciała palne. Gien wyświeca się w jądrze komety i ogrzewa ją w ogromnych od słońca oddalach. Atmosfera ziemi, gniem jaśniejąca i dla tego z innych ciał niebieskich widzialna, jest tem samem, co ogon komety. Na planecie, każdej chwili, po jednej stronie dnieje gien, po drugiej ciemni się cień. Jest to obrotem ziemi około swej osi sprawiany dzień i noc.

Na ziemi naszej jest gien, gdy w dzień pogodny światło słoneczne do nas przybywa, wydobywa z ziemi ciepło, zapala się niem i świeci wśród dnia jak trwała błyskawica. Błady on i zimny po górach, a złocistszy i gorętszy w dolinach. Ciepło planetarne na słońcu, ze światłem jego połączone, zapala tam bezmierny gien, bez przerwy świecący. Plamy na słońcu są może miejsca wpływem planet nieugnione. Słońce samo jako glob, jest ciałem ciemnem w nieorganizmy i organizmy płodnem.

Gien jest niby ciałem bo jest i widzialnym i dotykalskim. Zamienia się pod soczewką w ogień. A jednak i on jest istnieniem bezwzględem. Jak światło jest odpychającą, ciepło przyciągającą, tak gien jest wirującą siłą. Linia jest wyrazem ruchu światła, kąt, ruchu ciepła; koło lub trójkąt ruchu gnia jest wyrazem.

Teoryja ta heliostatyczna Trentowskiego jest genialnie pomyślana i wyjaśnia niejedno niewytłomaczone dotąd zjawisko wśród ciał niebieskich. Brak jej tylko dowodu „a posteriori.“ Wiadomo dotąd, że biały promień światła rozłamuje się trójszczaniem szklanym na siedmiobarwną tęcz kolorów, tudzież na niewidzialne promienie ciepła i promienie chemiczne. Analiza spektralna sięgła aż do chemji ciał niebieskich, i wskazuje za pomocą linii barwistych, przecinających, w pewnych oznaczonych miejscach; widma, jaki się w tych świecących oddalach pali pierwiastek; następnie z jakich pierwiastków to ciało niebieskie złożone: czy ono słońcem, czy kometa, czy planetą. Postrzeżenia spektralne okazały, co i Trentowski wedle analogji poprzednio utrzymywał, że większa część pierwiastków, z których się ziemia nasza składa, znajduje się w całym systemie planetarnym. Ale aby chemiczne promienie i promienie ciepła, które w rozłożonym promieniu światła znajdujemy, nie przychodziły do nas ze słońca, ale ze ziemi wędrowały do słońca, na to trzeba doświadczalnego dowodu, którego pomienionej teorii nie dostaje. O chemicznych promieniach widoczna, że idą ze światłem, boć na liniach Fraunhoferskich odsłonią one wyraźnie mikroskopiczne linje czarne na widmie słonecznem, jako świadki ciał palących się w fotosferze słonecznej, których kolorowe barwy zniszczone zostały. Chodziłoby tylko o promienie ciepła, które prawdopodobnie jest ciepłem planetarnem; nie tylko z powodu palącego się wnętrza ziemi, ale i wzrastającego zimna, im dalej się od jej powierzchni oddalamy. Pod tym względem gien, jako zjednoczenie polarnego światła i planetarnego ciepła, nabrałby wielkiego znaczenia we fizyce świata. Autor nazywa go „słońcem spółkującym z planetą; światłem, małżonkują-

cym z ciepłem.“ (str. 256). Wszakże nie obejdzie się bez promieni chemicznych, które w każdym rozłożonym promieniu białym się objawiają.

Przystępujemy do trzeciej, nie już kosmologicznej, ale geogonicznej teorii, to jest rozwijania się nieorganicznego świata wszędzie, a w szczególności na ziemi naszej, która nam jedynie znana. Siedm dni stworzenia świata w genezie Mojżeszowej porównywa autor do siedmiu warstw ziemi, wysledzonych przez Wernera. Pokłady te idą od granitu aż do ziemi napływowej, czyli urodzajnej. „Platyna“ sadzi się na krańcu kruszczowego świata, a na przeciwnym biegunie stoi „djament.“ Środkiem pomiędzy nimi „żelazo.“ Podobnie wśród ziem, „krzemionka i wapno“ są biegunami, a „il“ punktem środkowym. „W ile widzi się już jaje organicznego świata od nieorganicznej natury zniesione“ (str. 266).

„Magnetyzm“, to polarność słonecznego świata, w łono ziemi przeniesiona. Ziemia sama jest ogromnym magnesem. Jak na niebie, tak i tu, bieguny odwrotne przyciągają się, a jednakie odpychają. Magnetyzm jest siłą nieruchomą, stojącą i stałą. Jest on psychą mineralogicznego świata. Najdoskonalszym jego wyrazem jest kamień magnesowy (magnes) i serpentyn.

„Elektryczność“ stanowi duszę powietrza, wody i ognia. Jest ona poboczną meteorologii. Elektryczność dodatna to duch powietrza; ujemna to duch wody; w połączeniu to ogień, łysk, piorun. Elektryczność jest płynnym magnetyzmem. Płyne jak rączy czas, i zawsze jest jednym zadrgnieniem, jak chwilka terażniejszości. Bieguny igły magnetycznej dają jedną, nierozdzieloną całość. Elektryczności biegunowe dają się oddzielić, jak w chmurach i w ziemi podczas burzy piorunowej. Elektryczność ma wyraz swój w kamieniu, zwanym turmalin, i w rybie zwanej drętwikiem. Że w elektryczności tkwi ciepło, czuje to w łokciach elektryzowana osoba.

„Galwanizm“ sprawuje duszę wszech gatunków ziem. Plus — biegun to duch krzemionki, minus — biegun to duch wapna, a środek, duch ilu. „Krzemionka, wapno i il, to nabity stos galwaniczny wśród ziemi“ (str. 271). Galwanizm w ile staje się iskrą żywota i ustraja go w pierwotne żywiotka (*infuzorje, protozoa*). On zapładnia ikrę rybnią, która rzucona w wodę zamienia się w rybki, jak gdyby była przez samca zapłodniona. Galwanizm magnetyzuje jak magnes, ale leci jak łyskawica po drutach telegraficznych. Jest i elektrycznością, ale nie działa, jako ona, jednorazowo; lecz, po każdym uderzeniu, odradza się ciągle i natychmiast.

Światło, ciepło, gien, magnetyzm, elektryczność, galwanizm są zapewne jednej i tej samej siły, to jest eteru, objawem. Wszakże tylko galwanizm „zapala na łonie świata nieorganicznego iskrę żywota i pulsuje od kolebki jego do grobu.“ (str. 273). On sam już jest praesem chemicznym. Natrafiamy tu na nową chemiczną polarność. „Kwasy i zasady“ są biegunami, a powstające z nich „sole“ środkami. Chemja jest już na przejściu do organizmu. „Godzi się wnioskować, co dzieje się w przyrodzeniu ciałem, będącem niezmiernie wielką i tajemniczą chemiczną pracownią, a zabierającą się do utworzenia żywota“ (str. 280).

Zwierz to biegun dodatni, roślina ujemny; grzyb stoi środkem. Wciąż jedna i ta sama polarność, którą widziało się i na niebiosach i we wnętrzu ziemi. Prawdopodobnie grzyby, pleśnie, poprzedziły objaw roślin i zwierząt. W zwierzęcych nerwach objawia się „cierpietliwość“ jako

magnetyzm żywotny; w muskułach „oburzliwość“ (Irritabilité) jako elektryczność żywotna; narzeczcie w gruczołkach „odrodlność“ czyli reprodukcja, jako galwanizm i chemiczny porób żywotny. W zwierzętach przedniejszych, cierpliwość przeobraża się w „myślenie“, oburzliwość w „miłość“, a odrodlność w „we wole“. Na dnie wszystkich polarności dysze zatem myśl, miłość i wola boża, która w końcu wyjawia się w człowieku.

To ostatnie zdanie, jest wielkim wypadkiem filozofii natury, już przez Okena wypowiedziane. Dwie biegunowe polarności we wszechświecie, to zasada w nim płciowości męskiej i żeńskiej, a ztąd rodzajności, trwania i postępu. A w gruncie rzeczy to wejść może miłość i wola Boża, która dopiero w człowieku znajduje zupełny, acz warunkowany odbłask swój. Natura to namacalny objaw trójcy tajemniczej, będącej najwyższym szczeblem teologii. Jest to Bóg Ojciec, Bóg Syn i pochodzący od obydwóch Bóg Duch Święty.

Wszakże brak i w tej ostatniej, geogonicznej części dowodu „a posteriori“. Mamy domysł prawdopodobny, ale nie mamy przekonania, że olbrzymi chemiczny warstat ziemi naszej wy-czynia z nieorganizmu, pierwsze twory żyjątkowe. Autor pomija spór, jaki długo zajmował badaczy przyrodzenia, ażeby organizm rozwinął się, a może i rozwija jeszcze, z samorodnej pracowni nieorganicznej natury, czy też z jaja i nasienia. Dziś ta ostatnia zasada przeważała. Znajdują się wszędzie w powietrzu, ziemi i wodzie niedojrzałe nasienniki bakterjów, wibryonów. Same mikroskopiczne wymoczki wedle Ehrenberga, naczyniami płciowymi opatrzone. Wszelako i tu pozostaje nierozwiązana kwestja: z kąd się te pierwotne nasienniki żywota organicznego wzięły. — Nowszą teorią ekwiwalentu sił, nie była jeszcze znana autorowi. Ale zapatrywania się jego nie odbiegają od tej teorii, wedle której żadna siła nie ginie, ale się jedna w drugą zamienia, a energia, działanie i ekwiwalent jednej siły ogólnej, ożywiającej wszechświat, pozostają wszędzie te same.

(D. n.)

Piśmiennictwo zagraniczne.

(Przekład p. Lebediewa *Nieboskiej Komedji* Z. Krasińskiego; — przekład p. Puszkarewa *Mazepy* Słowackiego. Zdanie *St. Pietierburskich Wiedomości* o obu tych utworach. Pozytywizm rosyjskich nihilistów.)

(Dokończenie.)

Druga część „Nieboskiej“, w której, jak powiada recenzent, „przedstawiona jest cała zgroza demokracji“, jest, zdaniem jego, „także pretensjonalna i dostatecznie nieznosna, ale już wcale nie niewinna, jeno zupełnie tendencyjną niedorzecznością“. W tej bowiem części objawia Krasiński „swoje arystokratyczno-klerykalne dążności“. I w końcu czyni z rozczulającą otwartością takie wyznanie: „Nie wiem, może to jest i poezja, ale na każdy sposób taka, której piękność stworzyć i odczuć mogą tylko „polscy arystokraci“, wychowani w katolickim mistyczmie! Dla *ruszkawo realisty* taka poezja jest „gorączkowym majaczeniem albo parodią różnych straszdeł (!?), napisaną chyba na śmiech“. Okazuje się z tego, że inna istnieje poezja dla „polskich arystokratów“ a inna dla „ruskich realistów“. — Mickiewicz, powiada krytyk petersburski, (dla Mickiewicza ma on pewien respekt i podobno słyszał gdzieś coś o nim) Mickiewicz nazwał wprawdzie ten dramat „proroczym“, ale cóż to znaczy? „Mickiewicz był sam mistykiem, Towiańczykiem“. — Ale kiedy nim został, tego już ruskiej z czuciem realnem wiedzieć nie potrzebuje!... W końcu gniewa się pozytywista petersburski na tłumacza, że „chciał widocznie zrobić z Krasińskiego poetę“, ale mu się to nie udało...

O „Mazepie“ Słowackiego twierdzi krytyk *St. Pietierb. Wiedom.*, że „słyszysz w nim echo tego samego mistycyzmu, jaki odkrył u Krasińskiego“. — A może jeśli tamten mistycyzm był „katolicko-arystokratycznym“, ten będzie chyba „katolicko-radykalnym“?... Nie podobna przecież wymagać innego mistycyzmu od poety, który „się nie bał kazirodczych ran“!... Wytknąwszy następnie utworowi Słowackiego wiele błędów w budowie, charakterystyce i t. p., powiada w końcu laskawie że: „ze Słowackiego byłby może był poeta, gdyby był żył w innych stosunkach“ (zapewnie nad brzegami Newy, piejąc ody na *blahopatuczoje rażdenje* nowego gosudaria!) i że nawet w takim razie byłby przewyższył Mickiewicza, a zbliżył się... do Hejnego i Byrona!... Ale jak dalece potrzeba się „zniżyć“, ażeby „się zbliżyć“ do estetycznych pojęć „ruszkawo z czuciem realnem“?...

Artykuł swój kończy „ruski realista“ twierdzeniem, że ani jeden ani drugi utwór nie są wstanie zachęcić publiczności „ruskiej“ do dalszego zaznajamiania się z poetami polskimi w guście Krasińskiego i Słowackiego, i że „wielkości te są w Rosji zupełnie nieznane“. — Jeżeli gdzie, to pewnie nie w *St. Pietierburskich Wiedomościach*, spodziewaliśmy się spotkać z tem zdaniem! A wszakżesz to nie dalej, jak w roku 1870, kiedy po łamach dzienników i po głowach niektórych polityków petersburskich poczęła snuć się myśl „zgody z Polakami“, te same *St. Pietierburskie Wiedomości* w artykułach wstępnych dużym garmontem wylewały lzy nad pogrzebieniem „szlachetnego narodu polskiego“ i deklamowały z proroczym patosem, iż „nie może zginąć taki naród, co w dziedzinie nauki i pedagogii wydał takich mężów, jak Śniadecki, Kołłątaj, Konarski, w dziedzinie sztuki takie znakomitości, jak Grottger, Matejko, a w dziedzinie poezji takich mistrzów, jak Mickiewicz, Krasiński, Słowacki“!... Od tego czasu minęło zaledwie lat cztery, a Krasiński i Słowacki zostali przez ten czas w opinii *St. Pietierb. Wiedom.* zdegradowani do rzędu „nieznanych wielkości“, partaczów, udających poetów!...

Tych kilka zdań przytoczonych powyżej, dostatecznie charakteryzuje „pozytywizm petersburski“. Czegoż się zresztą można spodziewać po ludziach, dla których wzorem godnym uwielbienia i naśladowania, są pisarze tacy, jak n. p. współczesny humorysta rosyjski Sałtyków-Szczedrin, rekrutujący swe ideały w szumowinach społeczeństwa a bohaterów swoich pomiędzy pijanymi jenerałami; którzy z lubością pieszczą wyobrażnię swoich czytelników obrazami, jak *barin* (pan) uwiódł *krestjanku* (chłopkę). Oto jest poezja według upodobania petersburskich pozytywistów z „realnem czuciem“!... Z pośród tej zgrai współczesnych „realnych“ pisarzy rosyjskich, jeden Turgenjew zaszczytnie się wyróżnia, a przez to właśnie, że w najznakomitszych swoich utworach „*Atcy i diety*“ i „*Dym*“ nielitościwie chłoszcze ten gatunek ludzi z „realnem czuciem“.

W wiedeńskim piśmie humorystycznym *Floh*, wprowadzoną jest stała postać pod nazwiskiem: „*Der bürgerliche Einsiedler Kniebeiss am Bisamberg*“. Wyobraża figurę kudłatą, pierwoleśnej powierzchowności, z fajką w ustach i z butelką alkoholu przy boku, którym, zdaje się, podnieca i zaostrza bystrość swoich „realnych“ uwag i postrzeżeń nad utworami *diesen jungen Schiller*, które krytykuje w sposób zupełnie taki, jak „pozytywa wista petersburski“ dzieło Krasińskiego. Figura ta może służyć za wierny typ „pozytywizmu petersburskiego“, któremu do zupełnego podobieństwa nie brak ani owej pierwoleśności form zewnętrznych, ani „realnego czucia“, ani nawet, podobno — butelki z alkoholem...

Michał hr. Dzieduszycki.

Korespondencja „Tygodnia.“

Listy z Warszawy.

II.

Warszawa 3. Października 1874.

Jest jedno wyrażenie, które w naszych sceptycznych czasach zastąpiło dawne „superlatywy“, ku uczczeniu rzeczy i ludzi powymyślane. Kto dziś powie: nad spodziewanie, ten podniósł skalę swojego uwielbienia do takiego stopnia, że w obec

niego nikną, jak gwiazdy przy słońcu, wszystkie sławne epitety homerowskie i cała pompa tyrad pseudo-klasycznych. To też wyrażenia tego używają ludzie w nadzwyczajnych tylko wypadkach: kiedy n. p. ktoś zrobi arcy zreżnię grube bankructwo, kiedy aktor prowincjonalny nieźle odegra swą rolę, lub... kiedy ktoś przyjedzie na „Wystawę rolniczą warszawską“.

Broń mię Boże! żebym miał błagować. Kto tylko miał uszy ku słyszeniu, mógł nie dziesięć, ani sto, ale tysiąc tysięcy razy posłyszeć: „nad spodziewanie“ na placu Ujazdowskim w alei belwederskiej, po wszystkich ulicach i po wszystkich domach „gubernjalnego“ miasta Warszawy. Począwszy od pierwszego lepszego szlachcica, a skończywszy na waszym korespondencie, wszyscy się czegoś spodziewali, wszyscy wyobrażali sobie „wystawę“ tak lub inaczej; i wszyscy zostali zawiedzeni! Bądźco bądź jest to fakt znaczący. Mielśmy widocznie słabe wyobrażenie o bogactwie naszego kraju i o ruchu, jaki w nim się rozwija, kiedyśmy kamerton naszych wymagań nastroił tak nisko. Rzeczywistość przekonała, że tak bardzo źle z nami nie jest: a „nasi najserdeczniejsi“ opiekunowie niezbyt byli radzi, że „na okrainach“ wielkiego państwa Wszech Rosji coś się rusza, pomimo „ich opieki“.

Cóż więc takiego było na tej waszej wystawie? — zapytacie czytelnicy.

Nie było ani armat Krupa, ani koronek brabanckich, ani wyrobów z malachitu, ani brylantów nietylko pierwszej ale i ostatniej nawet wody. Co prawda, to prawda. Ale mieliśmy przedewszystkiem reprezentację całej naszej Polski wzdłuż i wszerz; mieliśmy dalekie obficie to, co nam ziemia nasza daje i co z jej płodów skrzętny a rozumny człowiek zrobić potrafi; mieliśmy wreszcie konferencje rolnicze t. j. możność wzajemnego porozumienia się światlejszych kraju obywateli. A każda z tych trzech rzeczy była tak dobrze i z takim taktem przedstawiona, że się przed nikim za postępowanie nasze rumienić nie potrzebujemy. Cóż więc dziwnego, że każdemu wyrwało się niemal z ust: „nad spodziewanie.“

Nie mogę być Homerem warszawskiej wystawy, naprzód dla tego, że czasy Homerów minęły, a po wtóre, że mógłbym kompetencję swojego sądu w nader złem świetle wystawić. Rad nierad muszę więc poprzestać na ogólnem scharakteryzowaniu ważniejszych grup, jakie w oparkanym części placu Ujazdowskiego widzieć się dawały.

Całość można podzielić na dwa główne działy, z których pierwszy obejmie narzędzia rolnicze, a drugi — same płody, biedne życie człowieka podtrzymujące. Pługi, siewniki, żniwiarki, kosiarki, grabiarki i niezliczona moc innych instrumentów, które są tem dla rolnika, czem pióro i atrament dla pisarza, reprezentowane były w dostatecznej ilości; większa ich część atoli została wyrobiona w fabrykach angielskich i poznańskich: z królestwa bowiem nader nieliczne napotkaliśmy okazy. Pod tym względem Kongresówka została pobita na głowę. Zainteresowanie się temi narzędziami było ogromne nie tylko pomiędzy rolnikami z profesji, ale i wśród reszty niespecjalnej publiczności, zaintrygowanej sławnym owym konkursem żniwiarek i kosiarek, o którym wspominałem w poprzedniej korespondencji. Każdy chciał własnymi oczyma obejrzeć i pokonać „Warszawiankę“ i zwyciężkiego „Johnstona“. Dla każdego znów rutynisty przedstawiał się widok ciekawy a niespodziewany. Ież to maszyn, o których mu się nie zamarzyło. Ież to kół i kółek zastępujące pracę Maćka i Bartka! A toż rolnictwo — to fabryka na ogromną skalę! Nie dosyć ziemi i ziarna, potrzeba żelaza; nie dosyć żelaza, potrzeba pary! Nie jednemu może zakreśliło się w głowie; ale patrzył i przypatrywał się, zwłaszcza, że wiele machin znajdowało się w ruchu i wykonywały robotę, dla której zbudowane zostały.

Nie kusząc się nawet o ocenę dobroci lub nieużyteczności pojedynczych okazów, przechodzimy do grupy płodów, w ten lub inny sposób z ziemi wydobytch. Rozmaitość ich i zasób w niczem nie ustępowały rozmaitości z zasobami machin rolniczych. Wszakże to było główne jądro „Wystawy!“ Obok 180 odmian pszenicy, znajdowało się 93 odmian gruszek; obok pół łokciowych kartofli można było napotkać półtorałokciowe buraki. Najwięcej wystawców liczyło oczywiście zboże; najmniej ogrodowizny. Tak

n. p. wystawców pszenicy było przeszło 70, wystawców zaś owoców i kartofli zaledwie dziesięciu. A i tu nawet z krajowców największą liczbę okazów dali Warszawiacy, bracia Bardet. Mówiny „z krajowców,“ gdyż bezwzględnie największą liczbę płodów ogrodnich dał p. Busch z Pomeranii.

Nie tylko jednak praktyczne oko znawcy mogło się napawać widokiem zboża, kartofli, dyni, buraków, ogórków i gruszek; dla teoretyka były też rzeczy godne zastanowienia. Szczególniej szkoła Żabikowska zajmowała tu wszystkim agronomicznym instytutom. Przedstawiając bowiem największą liczbę odmian pszenicy w ziarnach i kłosach, nie zapomnieli ani o chorobach dręczących tę roślinę, ani o szkodnikach zwierzęcych, ani o owadach tępiących takowe, ani o plastycznych modelach unaoczniających skład i rozwój pszenicy. Do wszystkich tych i wielu innych szczegółów dodano wreszcie wszelkie możliwe przeróbki, którym pszenica może podlegać jak najmniej okazy kilku gatunków ziemi, na której się rodzi. Wobec tego naukowego bogactwa nikły drobniutkie ślady pracy agronomicznego instytutu w Puławach. Dyrektor jednak tego instytutu p. Daniłow innego był zdania. Gdy bowiem sędziowie, w szczuplej komitecie zebrani, przyznali Szkole Żabikowskiej prawo do medalu, p. Daniłow nie mógł znieść, żeby Poznań miał być wywyższony nad zarządzaną przezeń Nowo-Aleksandrię (Puławy). Prośbami więc wymógł tyle, że komitet w protokole zamieścił wzmiankę, iż z powodu niezgodności większości sędziów, odmawiających medalu puławsk. instytutowi, z mniejszością, rozstrzygnięcie tej sprawy zostawia ogólnemu zgromadzeniu. Na tem ogólnem zgromadzeniu, gdy odczytano protokół komitetu, wszyscy sędziowie mocno byli zaambarasowani, wobec gubernatora bowiem nie śmieli rozbić tak delikatnej kwestji. Gubernator dopiero, z jakichkolwiek powodów, machnął ręką na tak dziwną pretensję — i instytut puławski a raczej p. Daniłow osiadł na koszu....

Zbadanie ziemi, w której rodzą się i dojrzewają pożyteczne rośliny, ściśle się łączy z jej uprawą. Mało pod tym względem zrobiono na wystawie. Oprócz bowiem wspomnianej kolekcji gatunków ziemi, zebranej przez szkołę Żabikowską, widzieliśmy tylko 42 próbki ziemi z powiatu Janowskiego, zebrane przez p. Dobrskiego. I co do natury gruntu w ogóle nie wiele mam do zanotowania, chyba żebym wspomniał o pięknych okazach marmuru z 60 miejscowości guberni Kieleckiej, które nadesłał p. Welke budowniczy z miasta Kielc. Oba te jednak zbiory (pp. Dobrskiego i Welkego) są nader starannie dokonane i opatrzone stosownymi mapami. Wszak i na wystawie wiedeńskiej ta gałąź badań ludzkich jaśniała po większej części swoją... nieobecnością.

(Dok. nast.)

Ze świata naukowego.

Podróże do nowej Gwinei

z trzech lat ostatnich.

Podług najnowszych sprawozdań zestawil

L. Tatomir.

(Ciąg dalszy.)

„Od wyjścia z Andai nie widziałem żadnego krajowca. Dopiero tutaj spotkaliśmy niespodzianie kobietę, która uciekła skoro mię zobaczyła. Z niemałym zdziwieniem spostrzegłem po chwili znaczną liczbę ludzi, zchodzących z góry ku miejscu, które oczywiście ta kobieta wskazała im musiała, podczas gdy równocześnie inni wynurzali się z pomiędzy krzaków, trzciny i głązów. Słychać było dokoła nawoływania i obojętności. Widziałem jak mężczyźni, kobiety i dzieci, psy i świnię, wyrażali się, jakby na zaklęcie czarodziejskie, z poza wszystkich, skał zalegających łożysko wyschniętej rzeki, tak że w mgnieniu oka znalazłem się pośrodku całego wędrownego pokolenia. Wszyscy mężczyźni uzbrojeni byli w łuki, strzały i wielkie noże, wąskie u trzonka, a szerokie u końca ostrza, zwane *parangami*, a nawet kobiety i dzieci niosły

jakaś broń w rękach. Czoła mężczyźni opasywała dla ozdoby wstęga, którą oni *lueza* nazywają. Jestto pasek wycięty w kształt mocno wydłużonej elipsy, z giętkiej kory i opatrzony białymi muszelkami, którego cieńsze końce zawiązują się z tyłu głowy. W przedziurawionej środkowej ścianie nosa mieli wetknięty *ztigau*, tj. okrągły kawałek białej muszli, gładko wypolerowany i czasem jeszcze czerwonymi pasieczkami z pewnego rodzaju kory ozdobiony. *Ztigau*, od 1 do 6 cali długi, bywa zwyczajnie tylko przez mężczyźni używany, podczas gdy kobiety zastępują go pospolicie płytką z małży, zwanej *bree*, którą często przystrajają także czoła, podobnie jak mężczyźni. Małże te ozdabiają jeszcze rysunkami, rżniętymi mozołnie *parangiem*. W uszach mieli po największej części zawieszone pierścienie, albo zamiast tych cygara, które u wielu spostrzegłem wetknięte i w nos, podobnie jak *ztigau*. W ogóle zauważałem, że tak mężczyźni jak kobiety zaopatrzeni byli w cygara, które sami sobie fabrykują, zawiązując trochę tytoniu w liść, najczęściej pochutnika czyli pandanu.

Niektórzy z tej gromady krajowców zbliżyli się de mnie z uprzejmością i ciekawością, ale większa część trzymała się w pewnym odaleniu, grupując się malowniczo pomiędzy zarosłami i skałami. Kobiety i dzieci, widocznie przeleknięte moim widokiem, skupiły się razem na uboczu. Od mojego tłumacza dowiedziałem się, że ci ludzie wracali do swoich gór z nad wybrzeża morza, dokąd wędrują od czasu do czasu dla zaopatrzenia się w sól, której dostarczają im popioły spalonych roślin morskich. Gdy moi ludzie kilku znajomych w tej wędrowniej gromadzie znaleźli, postanowiłem przepędzić noc w pobliżu ich osad. Uszedłszy jakie 500 stóp w górę ponurym lasem, przerywanym jednakże tuówdzie plantacjami trzciny cukrowej i bananów, zatrzymaliśmy się na odkrytej płaskowyżynie, gdzie znaleźliśmy dom wysoko na pninach drzew zbudowany, a mogący pomieścić w sobie cztery rodziny, do którego wchodziło się po długiej drabinie z gałęzi. Tutaj rozłożyliśmy się na nocleg. Zachwyciłem się z tego wyniosłego miejsca przepyszny widokiem zachodu tropikowego. Przedemną ścielił się rozległy krajobraz zakończony połyskującą szybą morza, które zlewało się z niebem po krańcach widnokręgu; niedaleką wyspę Mansinam oblewało zachodzące słońce łuną purpurowego światła, a chóry ptactwa, oniemione skwarem południowym, żegnały teraz tem głośniejszym śpiewem gasnący dzień.

Nazajutrz, trzymając się ciągle łożyska owej wyschniętej rzeki, doszliśmy do góry Putat zwanej i wdrapaliśmy się na nią około południa, idąc ciągle pod cieniem rozłożystych drzew, które nas chroniły od gorących promieni słońca. Na szczycie tej góry leży wioska tej samej nazwy, złożona z czterech domów, które 40 do 50 ludzi zamieszkuje. Moi przewodnicy chcieli mię tutaj oszukać, wmawiając we mnie, że to jest Atam, i żądając, żebym im wyliczył ich nagrodę, gdyż spełnili już swoje zobowiązanie. Gdy ich jednakże przekonałem, że nie dam się wywieść w pole, zgodzili się nakoniec pod warunkiem, żebym przyjął więcej przewodników, gdyż oni są przeciążeni pakunkami i nie znają dokładnie drogi.

Wzmocniwszy tedy jeszcze kilku ludźmi mój tabor podróży, do którego przyłączyło się także kilka kobiet z dziećmi, puściłem się dnia 6. września dalej w drogę. Kobiety niosły na plecach zapasy żywności w małych siatkach,

nokin zwanych, i podpierały się włóczniami, jak laskami. Jedna z nich miała rudawe włosy i bardzo jasne oczy, była silna, młoda i w porównaniu ze swojemi towarzyszkami mogła uchodzić za piękną. Druga odznaczała się szczególnie czarną i połyskującą skórą; oczy jej pełne życia błyskały z pod długich rzęs, a piękne białe zęby odbijały mocno od hebanowej cery. Cała postawa tej kobiety, zaledwie 15-letniej, była zgrabna, smukła i gibka; żywe jej ruchy uderzały pewną gracją, a miłe rysy jej oblicza ujmowały wyrazem rozumnym i wdzięcznym uśmiechem, który prawie ciągle je krasił. We włosy miała wplecione sznurki muszel, spadające aż na czoło, i podobny naszyjnik z białych muszel spoczywał na jej czarnych piersiach. Niosła na plecach taki sam *nokin* z żywnością, jaki dźwigały jej towarzyski, ale nie widać było na niej nigdy znużenia, owszem zawsze wesół, śpiewała od czasu do czasu głosem silnym i dźwięcznym jakąś dziką pieśń, która zdawała się dodawać sił jej zmęczonemu rodakom. Ubranie Papuasów zredukowane jest do tak szczupłych rozmiarów, że w Europie nie wystarczyłoby nawet na przysłonienie nagości dziecięcia w powiciu. Składa się ono bowiem tylko z kawałków katunu lub kory, zwisających z tyłu i z przodu z cienkiego sznura, okręconego około pasa, naksztalt fartuszków. O ile oszczędni są w ubraniu, o tyle przeciwnie zbytkują w ozdobach i wieszają na sobie mnóstwo sznurków muszel, różnych świecideł, naszyjników i bransolet mosiężnych.

Idąc dalej kamienistym łożyskiem wyschniętej rzeki, pominęliśmy kilka plantacji jams, bananów, kukurydzy i tytoniu, przebyliśmy równie ponury las, jak pierwszego dnia podróży, przeszliśmy wąski, cienisty przesmyk pomiędzy dwoma stromemi górami i stanęliśmy około południa nad rwącym górskim potokiem. Papuasi, korzystając z chwili wytchnienia, użyli kąpieli w świeżej wodzie potoku i myli troskliwie z kurzu swoje krzacyste włosy, co zresztą powtarzali w ciągu podróży, ile razy tylko nadarzyła się do tego sposobność.

Po południu lunął gwałtowny deszcz i ośliżłe drogi utrudniały niezmiernie pochód. Na szczęście znaleźliśmy około 5 godziny dwie puste chałupy, zbudowane z kory zapewne tylko na chwilowe schronienie przed niepogodą, i tu postanowiliśmy przenocować. Ja z pakunkami zająłem jedną chałupę, moi ludzie rozłożyli się w drugiej i w kilku innych podobnych szałasach, które sobie napręde z gałęzi i kory sklecieli. Rozniecono ogień, zgotowano jedzenie i wkrótce usnęli wszyscy, znużeni całodziennym pochodem, tylko nie kobiety. Zgromadzone w osobnym szałasie, rozmawiały one jeszcze długo w nocy kiedy mężczyźni już dawno chrapali.“

(D. n.)

BIBLIOGRAFJA.

Polska.

— „Dzisiaj,“ przez autora pieśni „Moje sny“ u Żupańskiego w Poznaniu r. 1874.

Poemat, w szerszym tego wyrazu znaczeniu — w dzisiejszych czasach należy do prawdziwej rzadkości. Z tem więkzą też skwapliwością powitaliśmy pieśń o „dzisiaj“ wyszłą przed parą dniami w Poznaniu — gdyż imię autora pozwalało nam wnioskować o rzeczy dobrej i cennej dla literatury. I nie omyliliśmy się bynajmniej. Jakkolwiek autor poematu ukrywa swe imię skromnie po za zasłonę dzieł wyszłych z pod jego pióra — znamy je dobrze i poważamy wysoko. Autor „Dzisiaj“ dawny przy-

jacieli Krasińskiego, powiernik jego natchnień — świadek zresztą, całego rozkwitu literatury Mickiewiczowskiej — przesiąkł na wskroś ideami natchnionego wieszczu „Przedświtu“, i to naśladownictwo formy i ducha Zygmunta, przebija się z każdego wiersza. Trudno nam przystać do treści poematu... Założenie jego bardzo proste i tę prostotę obok podniosłości treści właśnie wysoko w nim podnieść należy. Należąc, z przekonania i tradycji, do tak zwanych „szlacheckich“ pisarzy — autor „Dzisiaj“ widocznie tęskni za przeszłością, lecz podnosi z niej tylko to, co jest jasne i szlachetne; tak że przeszłość dziejowa, pod jego piórem, urasta na jakąś baśń czarodziejską, o której chciałoby się wciąż słuchać i słuchać... Koniec pieśni gubi się w mistycyzmie — i już nie dorównywa wstępowi, który jest wspaniale nakreślony. Bądź co bądź, poemat ten należy do prawdziwych pereł poetycznych, o które co raz to trudniej w naszych pozytywnych czasach.

— Pamiętnik Akademii umiejętności w Krakowie. Wydział matematyczno-przyrodniczy Tom I. Nakładem Akademii Umiejętności, Kraków, 1874.

Tom ten zawiera następujące rozprawy: Biesiadckiego „Anatomia patologiczna gruczołów skórnych“; — Zajączkowskiego „O ciałkach osobliwych, zwyczajnych, również różniczkowych, rzędu jakiegokolwiek“; — Żmurki „O styczności stożków obrotowych“; — Frankego „Badania analityczne nad ruchem ciał stałych“; — Gosiewskiego „Przyczynek do teorii równowagi i ruchu ciała sztywnego“; — Skiby „Teoria matematyczna przekładania światła“; — Janiewskiego „Poszukiwania nad wzrostem wierzchołkowym korzeni roślin skrytoziarnowych“; — Piotrowskiego „O chyżości rozchodzenia się światła w solach“; — Strzeleckiego „O czystości powietrza“; — Skiby i Olshewskiego „Wpływ temperatury na przewodnictwo galwaniczne wody.“

— Popularny wykład o budowie,żywieniu i pielęgnowaniu ciała ludzkiego, przez Dr. St. Jerzykowskiego. Warszawa, r. 1874.

Od lat kilku lekarze nasi zwracają pilną uwagę na fizyczną stronę człowieka, od której w wielkiej mierze zawisło zdrowie moralne. Powyższe dzieło, podzielone na 4 części, należy do najlepszych, jakie się w tym przedmiocie pojawiły. W pierwszej części autor zapoznaje nas z zewnętrzną postacią ciała ludzkiego, z rasami zamieszkującymi kulę ziemską; dalej podaje różnice między człowiekiem a zwierzęciem, nakoniec przechodzi do podziału ciała na organa i ich opisu. Część druga mówi o pokarmach, trzecia o mieszkaniu, klimacie, odzieży, a w czwartej autor podaje rady, jak sobie począć w nagłych chorobach. Całość jest napisana bardzo popularnie, więc każdemu możemy tę książkę polecić.

— Karlinsey, tragedia w pięciu odsłonach, poprzedzona uwerturą, przez Ernesta Buławę. Lwów r. 1874.

Autor powyższej tragedji, napisanej to wierszem białym, to rymowanym, zamierza wydać cały szereg utworów dramatycznych. — „Karlinsey“ nie należy do lepszych dramatów. Dykcja potoczna, lubo zbyt często Pola przypomina, błyski poezji widne w wielu miejscach — całość atoli słaba. Postać głównego bohatera była za olbrzymią dla talentu autora. Nie mniej brak tej pracy warunków scenicznych, któreby jej rokowały powodzenie na deskach teatralnych. Mimo to z prawdziwą przyjemnością witamy każdy nowy utwór sceniczny, bo może zjawi się przeciw prawdziwy dramaturg, którego dotąd nie mamy, chociaż mniejsze talenta oddawna go zapowiadają. Kto wie zresztą, czy p. Ernest Buława (Władysław hr. Tarnowski) nie obdarzy nas w dalszym ciągu swoich utworów dramatycznych, pracą pełniejszą i potężniejszą, czego szczerze pragniemy.

— Mikołaj Rej z Nagłowic. Bronisław Zawadzki. Nakładem księgarni Gubrynowicza i Schmidta. Lwów, 1875.

Jest to źródłowa, starannie opracowana monografia, którą młody, uzdolniony ten autor napisał, jako rozprawę doktorską. Monografie dobrze opracowane są wielce pożytecznymi nabytkami, przygotowują bowiem grunt dla literatury. Bez licznych, źródłowych monografij nie podobna prawie dojść do dobrej, sumiennej i wszechstronnej opracowanej historii literatury.

— Ludność Galicji przez Władysława Rapańskiego — Lwów 1874. 12 str. 126 i II. Z mapkami kolorowanymi.

W słowie wstępnym podaje autor szczegóły historyczne, dotyczące obliczania ludności w państwie austri-

jackiem od r. 1753; w następnych siedmiu rozdziałach przedstawia wypadki statystycznego zestawienia ludności kraju naszego pod rozmaitemi względami, zastanawiając się zarazem nad powodami i skutkami ruchu statystycznego, niemniej prostując tu i owdzie omyłki, w innych tego rodzaju pismach popełnione. Tabelaryczna i porównawcza metoda, której autor użył, czyni książkę jego zajmującą, a dodane na końcu, czysto wykonane mapki litografowane służą do graficznego rzeczy uzmysłowienia. Naprzód przedstawia autor ruch ludności bezwzględnej i względnej, w rozdziale drugim ludność pod względem skupienia się w osady, w trzecim pod względem narodowości i wyznań, w czwartym pod względem podziału na klasy wieku z kilku uwagami o śmiertelności odnośnie do wieku, w piątym stosunek liczbowy płci, w szóstym statystykę małżeństw, w siódmym statystykę ludności co do zatrudnienia, zarobkowania i utrzymania się. Do rozdziału trzeciego dodał rys etnograficzny i statystyczny górali karpaccich i obszaru przez nich zamieszkanego. Język zostawia tu i owdzie nieco do życzenia. Przy statystyce szkół mógł autor użyć odtbitki sprawozdania rady szkolnej krajowej. Nie uwłacza to jednak wartości książki, którą polecamy wszystkim miłośnikom statystyki, wszystkim zakładom naukowym i nauczycielom.

— O literaturze pobratymczych narodów słowiańskich. — Odczyty publiczne w Muzeum techniczno-przemysłowem w Krakowie. A. H. Kirkora. Kraków, 1874.

Działowi literatury rosyjskiej poświęcił autor najwięcej miejsca; — dział też ten jest najgruntowniej opracowany. Całe dzieło zawiera mnóstwo charakterystycznych anegdot, przyczyniających się nie mało do ożywienia przedmiotu.

— Wspomnienia z przeszłości Stanisława hr. Wodzickiego od r. 1768 do 1840. Kraków, 1874.

Pamiętnik ten zawiera między innymi nader cenne materiały do panowania Stanisława Augusta.

— Wykłady na kursie leśniczym we Lwowie. — Gospodarstwo lasowe. Wstęp. Las w stanie natury. We Lwowie, w księgarni Gubrynowicza i Schmidta. 1874.

— Wykłady na kursie leśniczym we Lwowie. Gospodarstwo lasowe. Część pierwsza. Użytkowanie lasu przez Henryka Strzeleckiego. Rozdział pierwszy, Ciecie lasu. We Lwowie, w księgarni Gubrynowicza i Schmidta. 1874.

Jak z jednej strony obie te książki chlubnie świadczą o naukowej gruntowności miewanych przez autora wykładów o leśnictwie, tak życzymy z drugiej strony, ażeby wobec bardzo smutnego stanu gospodarstwa leśnego u nas, którego zastraszających skutków nie widzą tylko bądź nie mający oczu, bądź niechęący ich otworzyć, znalazły one jak najwięcej czytelników, i przyczyniły się do zaprowadzenia rozumniejszego gospodarstwa leśnego. W dziełach pana Strzeleckiego język czysty a wyśłowienie łatwe i proste podnoszą ich wartość, czyniąc je przystępnymi dla każdego; podana zaś przy każdym rozdziale literatura leśnictwa pożądana zawiera wskazówki, dla pragnących obszerniejszego w tym przedmiocie pouczenia.

— Wykład chemji organicznej, czyli chemji związków węgla, przez Schorlemmera, przekład J. Boguckiego i B. Znutowicza. Warszawa, r. 1874.

Dzieło powyższe, przeznaczone dla chemików, jest pierwszym gruntownym podręcznikiem tego przedmiotu w naszym języku. Przekład wyszczególnia się wiernością i potocznością języka. Profesor Langner kierował przekładem.

— Fizyka doświadczalna dla użytku niższych szkół średnich, napisana przez Dr. Augusta Kunzeka, przełożona przez Dr. Tomasza Staneckiego. Wydanie wtóre, przejrane, dla IV klasy; 1. połowa — Nakładem K. Wilda we Lwowie 1874.

Druga większa połowa wyjdzie z końcem r. 1874.

— Nauka rachunków w szkole ludowej, osnuta sposobem obrazowym i przywodzącym na tle ćwiczeń i zadań praktycznych, zestawionych metodycznie i zastosowanych do metrycznego układu miar, przez Edmunda Bączalskiego — Część I. z II drzeworytami w tekście. Lwów, Karol. Wild, 1875.

— Przewodnik metodyczny przy nauce rachunków w szkole ludowej przez Edmunda Bączalskiego. Lwów, K. Wild. 1875.

— Rys geografji i historii powszechnej dla wyższych klas szkół średnich i do nauki prywatnej. — Tom I. Świat starożytny. Zeszyt II. Lwów, u Karola Wilda. 1874.

— To i owo, właściwie zaś: ani to, ani owo, czyli 48 powiastek dla pełnoletnich dzieci, — przez Bolesława Prusa. Warszawa, r. 1874.

Jest to szereg drobnych obrazków i poezji satyrycznych.

Niemiecka.

— Geografische und ethnologische Bilder, von Dr. Adolf Bastian. Jena, Costenoble, 1874.

Autor powyższego dzieła, należący do najnamiętniejszych podróżników w Europie, dał nam szereg żywych szkiców i obrazów tych ludów i krajów, które sam zwiedził. W nocy towarzyszymy mu przez pustynię, potem spotykamy ludzi łaknących złota w ich pochodzie w głąb Peru, błądźmy po ruinach państwa meksykańskiego, dziwimy się wspaniałym zabytkom sztuki indyjskiej, starożytnościom Kambodży i Japonji, wreszcie przebiegamy zachodnie brzegi Afryki i bezludne stepy Syberji. Bastjanowi robiono dotąd zarzut, że prace jego czytają się z trudnością. W ostatnim tem dziele wylał się całkiem z niemieckiego pedantyzmu i przedstawił się szerszym kołom, jako podróżnik prawdziwie popularny.

— Reisen im Gebiete des blauen und weissen Nil, im egyptischen Sudan und den angrenzenden Negerländern in den Jahren 1869 bis 1873 von E. Marno. Wien, Gerold, 1874.

P. E. Marno, znany zoolog z Wiednia, opowiada podróże swoje po krajach zraszanych przez Nil, i po Sudanie, podjęte w celach głównie przyrodniczych, w ciągu ostatnich czterech lat. Obok niezmiernej ilości nowych, ciekawych i pouczających szczegółów, książka posiada żywą i wcale nie niemiecką formę. Znajduje się w niej także mały słowniczek narzeczy wyższego Nilu. Litografie i drzeworyty przedstawiają widoki opisywanych okolic i typy etnograficzne, a mapki dają wyborne pojęcie o południowym nubijskim pograniczu.

— Illustriertes Handels Lexikon, Praktisches Hilfs- und Nachschlagebuch über alle Gegenstände und Verhältnisse des Handels und Weltverkehrs. Leipzig. Spamer, 1874.

Podręcznik wielkiej wartości dla kupców, fabrykantów, przemysłowców i szkół handlowych.

Włoska.

— Vita di Michel-Angelo, narrata con l'ajuto di nuovi documenti, per Aurelio Gotti. Firenze, 1874.

Potęzna postać Michała-Anioła, będzie długie jeszcze wieki nadzwyczaj ciekawą. Gotti, dyrektor florentyńskiej galerji obrazów degli Uffizi, zebrał nowe szczegóły z życia tego olbrzymiego malarza, budowniczego i rzeźbiarza. Wydał je na pamiątkę 400 letniej rocznicy urodzin Michała-Anioła, która przypada w r. 1875. Autor pomieścił w sumiennej swojej pracy 700 własnoręcznych listów Michała-Anioła, które znajdowały się w rękach rodziny Buonarottich i 1400 listów, które Michał-Anioł za życia otrzymał od znakomitszych artystów owych czasów, papieżów, książąt i przyjaciół.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura, sztuka i nauka.

— Druk dzieł ś. p. Wincentego Pola już się rozpoczął. Pierwszy tom wyjdzie niewątpliwie z początkiem stycznia r. 1875. Rodzina zmarłego poety, której staraniem wydawnictwo to przyszło do skutku, przestrzega w układzie pism wskazówek zostawionych jej przez ś. p. Wincentego Pola i wspólnie z p. Richterem, który sam podjął się nakładu, stara się usilnie o to, aby edycja wypadła pod każdym względem świetnie. Nie wątpimy, że wszyscy czytelnicy naszego pisma skorzystają z dogodnej sposobności, aby po cenie niższej przyjąć w posiadanie dzieł tak znakomitych.

— Dnia 3. b. m. zgromadzenie w sali ratuszowej we Lwowie wybrało komitet z 40 członków, który zajmie się zbieraniem składek na zakupno obrazu Jana Matejki, przedstawiającego „Unję Lubelską.“ Ponieważ Jan Matejko żąda za Unję 30.000 złr. za „Batorego“ 40.000, a za oba obrazy razem tylko 50.000 guldenów, przeto polecono komitetowi, aby starał się o zakupienie tak „Unji“ jak „Batorego.“ — Redakcja naszego pisma przeznacza na ten cel 100 guldenów.

— Niewydane dotąd dzieła po ś. p. Julianie Bartoszewiczu ukażą się wkrótce w Warszawie

w edycji zbiorowej. Prace Bartoszewicza, których w rękopisach znajduje się bardzo wiele, są nieocenionym materiałem dla historyka.

— W szwedzkim ministerjum wojny znaleziono manuskrypt, który spisany na wyraźny rozkaz Karola XII, zawiera opis wojskowych działań armji szwedzkiej za granicami kraju. Dzieło to zostało rozdzielone na 20 tomów. — Nie wątpimy że zawierać ono będzie ciekawe szczegóły, odnoszące się do historii polskiej.

— P. J. I. Kraszewski wydał w Paryżu po francusku broszurę pod tytułem: „Congrès anthropologique et archéologique prés historique en Stockholm en 1874 a.”

— P. Wincenty Rapacki, artysta teatru warszawskiego, jak donosi *Kur. Warsz.*, napisał oryginalny dramat p. t. „Wit Stwosz.”

— W zakładzie p. J. Jaworskiego w Warszawie, rozpoczął się druk dalszego ciągu dawno przerwanej „Biblioteki Ordynacji Myszkowskiej, zapisu Konstantego Świdzińskiego.” Wiadome są losy nieocenionych zbiorów Świdzińskiego, o które toczyły się rozprawy długo i uporczywie prowadzone o sposób najlepszego zabezpieczenia i użytkowania tych skarbów. Obie strony, tak obdarowanego jak wykonawców testamentu, zarówno ożywiała miłość dobra publicznego, lecz nie mogli się pogodzić w zapatrywaniu się na środki; a nie mogli tak dalece, że margrabia Wielopolski, zwycięzki w procesie ze Świdzińskimi, wołał raczej dobrowolnie zrzec się praw do należnej sobie biblioteki i funduszy zapisanych mu przez przyjaciela na jej utrzymanie, aniżeli prowadzić dalej przykre dziennikarskie utarczki. Skutkiem tego wydawana przezeń z zapisu Świdzińskiego w latach 1859 i 1860 drogocenna „Biblioteka Ordynacji Myszkowskiej” ustala, zbiory Świdzińskiego przeszły do Ordynacji Kraszińskich, a mienie jego stało się własnością prywatną krewnych, którzy jednak zobowiązali się na drodze prawnej do placenia, po 3.000 złp. rocznie, na utrzymanie owych zbiorów. Była to ledwie cząstka tego, co Konstanty Świdziński przy pośrednictwie margrabiego Wielopolskiego przeznaczył na utrzymanie biblioteki i wydawnictwa historyczne: dochód z zapisu Świdzińskiego czynił około 15.000 zł. rocznie. Zawsze jednak i owe 3.000 złp. miały swoje znaczenie, zwłaszcza że Ordynacja Kraszińskich, sama łoząc na utrzymanie biblioteki, całą powyższą kwotę widzieć chciała przeznaczoną na wydawnictwa przechowywujących się u niej zabytków. Atoli upływały całe lata a wydawnictwo, nie mając na rozkazy przeznaczonych sobie funduszy, nie przychodziło do skutku. Dopiero teraz znalazło się do rozporządzenia z zapisu Świdzińskiego przeszło 30.000 złp. i zaraz też przystąpiono do wznowienia wydawnictwa zawieszono go od lat czterech; szacowna bowiem „Biblioteka Ordynacji Kraszińskich”, w której w tej przerwie czasu wyszło pięć okazałych tomów, innemi stała środkami. Wskrzeszone wydawnictwo skarbów nagromadzonych przez niestrudzonego bibliofila ma nosić ogólną nazwę: „Muzeum Świdzińskiego”, i w pierwszym drukującym się już tomie zawrę korespondencje wielkiego wojownika z pod Kirchholmu i Chocima: Jana Karola Chodkiewicza. Wydawnictwo prowadzi p. Władysław Chomętowski, bibliotekarz połączonych zbiorów Ordynacji Kraszińskich i Świdzińskiego. Korespondencja Chodkiewicza poprzedzona rozprawą p. Chomętowskiego o rękopisach nieszczęsnej biblioteki Radziwiłłowskiej w Nieświeżu, obejmie w tem wydaniu netylko to, czego rękopis niedługo nieświeżki dostarczył, lecz i wszystko, co z jakkolwiek ściągnąć się lub w druku wynaleźć dało.

— Znany w Warszawie skrzypek, p. Zygmunt Noskowski, poświęcił się nowemu rodzajowi muzyki, w którym główną rolę odgrywa deklamacja. Obecnie przygotował on do druku cały zbiór „Bajek” Krasickiego, podłożony pod muzykę. Z tego rodzaju muzyką, zapoznał był Galicję, w ciągu kilkuletniego tu pobytu, s. p. Chodecki.

— W Muzeum techniczno-przemysłowem krakowskim, otwarte są wpisy do szkoły rysunkowej dla kobiet. W obu oddziałach, liczba uczennic jest już prawie w komplecie, a od dwóch tygodni rozpoczęły się lekcje rysunków. Opiekę i główne kierownictwo szkoły, przyjął na siebie Jan Matejko, dyrektor szkoły Sztuk Pięknych; pod jego kierownictwem nadzielać będzie rysunków i olejnego malowania w pier-

wszym oddziale p. Hipolit Lipiński, w drugim oddziale, miejsce nauczyciela nie jest jeszcze stale obsadzone. P. Aleksandrówicz, bawiący obecnie na Wołyniu, otrzymał propozycję zajęcia tej posady; tymczasowo zaś p. Lipiński będzie go zastępował. Do szkoły drzeworytniczej równie otwarte są zapisy. Uczennice tego oddziału robią szybkie postępy, tak dalece, że zarząd muzealny, od czterech już miesięcy, przyjmuje zamówienia na drzeworyty, które uczennice wyrabiają po za obrębem godzin naukowych. Inne wykłady rozpoczną się na wszystkich wydziałach dla kobiet i na kursach handlowych męskich w pierwszych dniach listopada.

— W medjolańskim teatrze della Scala, dawano zeszłego miesiąca pierwszy raz nową operę: Gomeza „Salvator Rosa.” Z początku podobały się tylko chóry i orkiestra, w połowie atoli publiczność zaczęła się coraz głośniejsze oświadczać za kompozytorem, a przy końcu zwycięstwo maestro było zupełne.

— W paryskim teatrze Gaieté, przygotowują bardzo świetną wystawę dla nowej sztuki Sardou, p. t. „La haine.”

— W Wenecji rozpoczęto na wielkie rozmiary restaurację kilkunastu kościołów i pałaców, ponieważ przekonano się, że niektóre z nich groziły nawet upadkiem. Między innemi kościoł Salvatore, grobowiec Katarzyny Cornaro, obu braci i dożów Priuli, wreszcie mauzoleum doży, Franciszka Venier, są tak zakryte rusztowaniami, że wewnątrz nie prawie nie widać. Jakkolwiek Wenecjanie dbają o to, aby restauracje wypadły wszędzie w duchu oryginałów, mimo to nie da się zaprzeczyć, że odnowione dzieła starych mistrzów robią na widzu przykre wrażenie, ponieważ w ten sposób giną relikwie, a pozostają tylko dzieła sztuki.

Podróże, odkrycia, wynalazki i komunikacje.

— Ziemia cesarza Franciszka Józefa, odkryta podczas wyprawy austriackiej ku biegunowi północnemu, leży pod 80° półn. szer. a między 67° 39' i 37° i 87° 38' wschodniej długości, licząc od południka wyspy Ferro, zatem na północny zachód od wysp Nowej Ziemi, a na wschód od ziemi Gillisa 1707 r. odkrytej i północny wschód od wysp Spitzbergen. Najdalej ku północy wysunięty punkt tej ziemi, przylądek Wiedeń, przez porucznika Payera jeograficznie oznaczony, leży pod 83° półn. szer., zatem o 15' czyli 3³/₄ mili jeogr. bliżej bieguna od miejsca, do którego na północ od wysp Spitzbergen w Lipcu 1827 dotarł Parry, na saniach. Najdłuższy dzień na tej nowo odkrytej ziemi trwa 147 dni, najdłuższa noc 138 dni; tak, że 24 godzinna zmiana dnia i nocy trwa tylko przez 80 dni. Najdłuższy dzień rozpoczyna się z dniem 9. kwietnia i trwa do 3. września. Przez ten czas słońce nie zchodzi z widnokręgu. Dnia 3. września zachodzi ono na czas krótki i odtąd, po dzień 13. października trwa jesienna zmiana dnia z nocą, z bardzo szybkim ubywaniem dnia a przybywaniem nocy. Dnia 14. października okazuje się słońce po raz ostatni, na krótki czas, na widnokręgu. Z tym dniem rozpoczyna się długa noc zimowa, trwająca aż do 2. marca. Między tym dniem a 9. kwietnia następuje wiosenna zmiana dnia z nocą, przy nagłym przybywaniu dnia a ubywaniu nocy. U nas najwyższy stan słońca na niebie, dnia 21. czerwca, czyni 65¹/₂ stopnia, najniższy, 21. grudnia, 18¹/₂ stopnia; średnie, 22. marca i 23. września, 42 stopnie nad widnokręgiem. Na ziemi Franciszka Józefa słońce wznosi się najwyżej do 1¹/₂ stopnia nad widnokręgiem, średnie wzniesienie 22. marca i 23. września czyni tylko 8 stopni; co dostatecznie tłumaczy tamedne stosunki ciepłoty, a raczej zimna.

— Badacz starożytności, Felix Voulot, odkrył w Alzacji, w pobliżu Sainte-Odile, u podnóża góry Goxweiler, stare pobożowisko. Skrzące poszukiwania wykazały, że w tem miejscu walczyli Germanie z Celtami. Znaleziono czaszki różnego kształtu udowadniające istnienie tych dwóch ras. Bitwa była stoczona w r. 337, za Konstantyna II., młodszego. Voulot znalazł na piersiach jednej z zamordowanych kobiet, obok której leżał szkielet małego dziecka, medal z wizerunkiem tego cesarza.

— Profesor Silvestri, badający wybuch Etny donosi, że po prawej stronie góry okazała się szczytina poprzeczna, długości 1¹/₂ kilometra. Dwadzieścia nowych kraterów utworzyło się w jednej prawie linii.

Silvestri zapewnia, że wybuch Etny ma się ku końcowi, i że zaledwie kilka wstrząśnień, jeszcze nastąpi.

— Znany rzeźbiarz polski, Wiktor Brodzki, zamieszkały od wielu lat w Rzymie, ogłasza w pismach włoskich, że po 22 letniej pracy wynalazł sposób kierowania balonem. Jeżeli ten wynalazek okaże się w rzeczy samej praktycznym, to wywrze on niesłychany wpływ na areonautykę, a potem i na cały bieg naszej cywilizacji.

— Austrjacki pułkownik artylerji Uchatius zrobił jakąś kompozycję kruszcową, która ma być tak twardą jak stal. Wynalazca wylewa teraz działo z tej kompozycji, utrzymując, że będzie ono tak dobre, jak najlepsze Kruppa.

— Na kolei Berlińsko-Szczecińskiej będzie temi dniami zaprowadzony telegraf przy każdym pociągu; tak że pasażerowie będą się mogli z konduktorami a ci znowu z kierownikiem lokomotywy. Bardzo to użyteczny środek komunikacyjny.

— Inżynjer austriacki Pressel, któremu powierzono przed dwoma laty zbadanie okolic Mniejszej Azji w celach zaprowadzenia komunikacji i wytknięcia linii kolejowych, dokonawszy tego zadania przy pomocy wielkiej liczby już austriackich, już francuskich inżynjerów, obecnie zdaje sprawę z prac swoich. Jedną tylko linię uznał za niepodobną do przeprowadzenia, a mianowicie od Tripolis do Bagdadu, jako wiodącą przez kraj zbyt pusty i nieprzyjazni plemionami zasiedlony. Trzy zaś inne wielkie połączenia: Skutari-Bagdad, Smyrna-Erzurum i Siwas-Samsun zmierzył i jako najdoskonalej przeprowadzić się dające oznaczył. Pierwszej linii, już 97 kilon od Skutari do Ismodi ukończono. Do innych wkrótce pracownice ręce pionierów przystąpić mają. Prądy cywilizacji poleją się nowem korytem!...

Statystyka.

— P. Tadeusz Romanowicz, naczelnik biura statystycznego miasta Lwowa, ogłosił drukiem pierwszą „Statystykę Lwowa.” O dziele tem, które dopiero prasę opuściło, napiszemy obszerniej w następnym numerze „Tygodnia.”

— Niejaki p. Ignacy Kaczkowski, zajmuje się zebraniem materiałów do „Statystyki królestwa Polskiego.”

— W ciągu r. 1873 Anglja zakupiła w samej Francji masła za 50 milionów franków.

Gospodarstwo, przemysł i handel.

— Grubiński otrzymał w Warszawie dziesięcioletni przywilej na żniwiarkę swego pomysłu, zwaną „Warszawianką.”

— Koło Kuldszy, we wschodnim Turkestanie, niejaki Kopytow odkrył dzikie poczwarki jedwabnicze, które dają jedwab bardzo mocny i delikatny.

— Handel gąbkami jest nierównie większy, niżli się to niejednemu zdawać może. Sama Anglja sprowadza rocznie tego artykułu za półtrzecia miliona. Pochodzą one z Grecji, Syrii i wschodnich Indji. Wiadomo, że gąbka jest zwierzęciem roślinnem, które osiada na skalistym dnie morza. Najlepsze gąbki są syryjskie, które łowią w Tripolis, Ruad, Latakia i Batrun. Przeszło 300 łodzi zajmuje się każdego roku tym połowem, wzdłuż brzegów syryjskich. Każda łódź jest 20 stóp długa; jeden wiosłarz nią kieruje, a towarzysze sprawują czynność nurków. Połów odbywa się od czerwca, do połowy października.

Wojskowość.

Według ostatnich urzędowych sprawozdań stan armji francuskiej i pruskiej, jest w tej chwili następujący:

	Niemcy:	Francja:
Pod bronią	422.000	453.000
Cała siła zaczepna	846.000	635.000
Załogi i wojska uzupełniające	623.000	498.000

Okazuje się z tego, że Niemcy przewyższają Francję liczbą żołnierzy.

— We wszystkich francuskich fabrykach broni i arsenalach pracują teraz w dzień i w nocy nad przemienieniem szaspotów na karabiny systemu Grafa, które mają być lepsze od pruskich.

ROZMAITOŚCI.

— Hr. Engeström, znany w naszej literaturze, rodem Szwed, na oddzielnej audjencji doręczył w d. 1. września królowi szwedzkiemu, Oskarowi II, album, medal i dzieło „Żywot Kopernika“, w imieniu poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, które na kongresie archeologicznym w Sztokholmie reprezentował. Król uprzejmie dar przyjął i wyraził podziękowanie dla Towarzystwa.

— Pojawilo się nowe dzieło w angielskim języku, wydane staraniem p. Longmans i Sp. w Londynie, pod tytułem: „Życie Napoleona III. z papierów państwowych, nie ogłoszonych dotychczas listów familijnych, jakoteż podań osobistych“, przez Blanchard'a Jerrold. Nie myślimy tu wcale podawać szczegółowego rozbioru tego dzieła, chcemy tylko zaznaczyć czytelnika z kilką nieznanymi zupełnie zdarzeniami z życia zmarłego ekscesarza; przyczem zaufać możemy w wielu względach p. Jerrold, pomnąc, że był w posiadaniu najlepszych i najstosowniejszych materiałów. Dotychczas sądzono powszechnie, że Ludwik Napoleon urodził się w Tuilerjach. Tymczasem Jerrold dowodzi, iż nie w tym pałacu, ale w pewnym domu, będącym dziś własnością Rotszylda, przy ulicy wówczas Cerutti, dziś Lafitte, ujrzał światło dzienne przyszły więzień z Wilhelmshöhe. Pominąwszy inne, mające to stwierdzić, okoliczności, jako główny argument przytacza autor fakt, że Napoleon zaraz po zaślubieniu Eugenji, zaprowadził ją był do tego domu. Ogólnie znane jest gorące zajęcie, jakie okazywał zawsze „wielki stryj“ małemu jeszcze chłopcu; ale mniej może znaną jest następująca scena, która odbyła się w Tuilerjach, w chwili gdy Napoleon I. gotował się do wymarszu z Paryża na pola Waterloo. Książę Ludwik podbiegł do cesarza, głowę złożył na jego kolanach, i jak gdyby trapiiony smutnem przeczcuciem, wołał, zachodząc się od płaczu: „Nie idź tam, nie idź! Ci niegodziwi sprzymierzeni zabiją cię!“ Cesarz uściśkał chłopca, lecz równocześnie zganił dozorczyńnię, że nie stara się wykorzeniać zeń bojaźliwości. Następnie zwrócił się do obecnego Soula i rzekł: „Marszałku, ucałuj tego malca... może on jedyną nadzieję mojego rodu!“ W bałwochwalczej, rzecz można, części dla pamięci stryja wychowywało Ludwika. Gdy dowiedział się o śmierci cesarza, a liczył wtedy 12 lat, napisał do matki te słowa: „Na szczęście przebywa On teraz w lepszej krainie, gdzie w niezamąconym pokoju radować się może owocami swoich dobrych czynów. Jeślibym kiedykolwiek bliski był popełnienia jakiej niegodziwości, wspomnę tylko na tego wielkiego męża, a uczuję niechybnie jego cień przy sobie i usłyszę napomnienie, bym się okazywał godnym imienia Napoleona.“ Matka jego, królowa Hortensja, kupiła w r. 1817 zamek Arenenberg, szukając zacisza, gdzieby mogła dożyć resztek dni w zupełnem odosobnieniu od świata. W Konstancji, gdzie bawiła przedtem, nie miała tego pożądanego pokoju. Znalazła go dopiero w Kantonie Thurgau, którego ludność demokratyczna otaczała ją gorącymi sympatjami. Staroświecki zamek Arenenberg odnowiony i stosownie upiększony, zmieniono w prawdziwe muzeum Napoleońskie, w istną świątynię, której bożyszczem był Napoleon I. Wszystkie saleapełniono familijnymi portretami i obrazami, wystawiającemi bądź bitwy, w których cesarz zwyciężał, bądź różne sprawy państwowe, w których tenże główną odgrywał rolę. W takim to otoczeniu wzrastał chłopiec, weześnie już przejęty myślą, że spuścizną spadło nań dokonczenie wielkiej misji stryja. Pan Jerrold, widocznie wielki wielbiciel Bonapartych, wyszukiwał w Arenenberg starych służących napoleońskich, i o najdrobniejsze wypytywał szczegóły. Niejaki „Fritz Rickenbach“, zgrzybiały starzec, który służył królowej Hortensji aż do jej zgonu, opowiadał mu między innemi zdarzenie, dowodzące, jak uczynnym i miłośnym w złośliwym był przyszły uzurpator z 2. Grudnia. Jadąc raz konno, spotkał małego żebraka. Bez namysłu zrzucił z siebie surdut i dał go żebrzącemu; sam zaś, narażając się na przeziębienie z braku zwierzchniej odzieży, powrócił do zamku. To jeno pewne, że charakter Napoleona III. niezmiernie różnił się od usposobienia młodocianego Ludwika w Are-

enberg. Jego siostra mleczna, późniejsza pani Cornu, opisuje go jako dobrego chłopczykę o miętym sercu, następnie zaś jako młodziana marzyciela, któremu „brakło granitu duszy“. Pilnym w naukach był zawsze do za-stanowienia; otoczony książkami zamykał się w pokoju na długie godziny, studiując przedewszystkiem — historję swego stryja. Wiadome są zapewne wszystkim awanturnicze wędrówki młodego Ludwika Napoleona ze starszym bratem, po Włoszech, mające na celu niby to „wyzwolenie Italji“. Skończyły się na tem, że obadwaj bracia wraz z matką uciekać musieli do Francji. Na tronie francuskim królował właśnie „mieszczuch“ Ludwik Filip i do niego udała się Hortensja. Przy tej sposobności Jerrold przytacza wcale ciekawą a nieznaną rozmowę króla z Hortensją. Witając ją bardzo uprzejmie i laskawie, rzekł między innemi: „Wiem ja dobrze, co to są cierpienia wygnańców, i nie mam wcale winą, że one dotychczas są udziałem Waszym.“ Król nie sprzeciwiał się bynajmniej, żeby ekskrólowa zamieszkała z synem we Francji. Ale obecny rozmowie minister Kaźmierz Perier, wtrącił dość niedyskretnie, takie *dictum acerbum*: „To tylko kłopot, że ludzie wnet przyzwyczailiby się z bytecznie do ciebie, pani, i twego syna... O ile dotyczy pani, nie mielibyśmy nic do zarzucenia jej pobytowi w Paryżu; ale syn, już dla samego swojego imienia, nie może tu pozostać. Gdyby nawet kiedyś w przyszłości chciał służyć w armji francuskiej, „wpierw musiałby odrzucić to imię...“ Za parę dni książę wraz z matką opuścił Paryż. Wkrótce potem nastąpiła owa śmieszna próbka rewolucji w Strasburgu, opisana dokładnie przez Jerrolda, usiłującego przedstawić w pochlebnem świetle jej autora.

— Wieczorem, 13. maja b. r. Szeryf Rowland z Los Angeles County w Kalifornji otrzymał dokładną wiadomość o miejscu pobytu herszta bandytów, Tyburcja Vasquez. Denuncjantem był brat jego właśnie, któremu, wedle uzasadnionej pogłoski, Vasquez odkochał narzeczoną. Otrzymałszy szczegółową informację, wysłał tedy Szeryf w największej tajemnicy dwudziestu dobrze uzbrojonych ludzi, pod dowództwem pomocnika swojego, Johnsona, na wskazane miejsce, to jest do oddalonej o pół mili, położonej przy wejściu do doliny, gospody pod „Greckim Jerzym“ której właściciel, Meksykańczyk, jak najgorszej opinji używał. Pocichutku zbliżył się oddział na niewielką odległość od domu i stanął w zasadzce. Było to 14. maja, o 10 przed południem. Wnet spostrzegli żołnierze ze swego ukrycia, że jakiś człowiek, zupełnie podobny do Vasqueza, wyszedł z gospody, nakarmił swego konia i wszedł napowrót. Wśród tego trzech innych ludzi opuściło także gospodę, wsiadło na koń i popędziło w kierunku Los Angeles. Ta okoliczność zmusiła żołnierzy do podzielenia się na dwie części, z których jedna udała się w pogoń za temi, co odjechali, a druga ruszyła się dla pochwylenia pozostałych w gospodzie. Przedewszystkiem zatrzymali i uwięzili dwóch młodych Meksykanów zdających z gospody. Ale ponieważ dom był ze wszech stron odsłonięty, niemożebną było rzeczą niespostrzeżenie doń się dostać; dla tego żołnierze skryli się w wozie i zmusili owych Meksykanów do podwiezienia ich pod sam dom. Tu gdy się dostali, skoczyli z błyskawiczną szybkością i obsadzili wszystkie wyjścia. Jeden z ludzi wpadł przed drzwi kuchenne i zszedł samego Vasqueza, przy obiedzie. Bandyta na jego widok skoczył przez okno i chciał uciekać ku stanowisku swojego konia. Liczne wystrzały jednak zmusiły go do zatrzymania się. Otoczony zewsząd, z godnością i bez najmniejszego śladu wzruszenia dał się związać. Jedną z wystrzelonych kul ugodziła go w głowę, inne w biodro, w lewe i w prawe ramię; jedna nawet strzaskała mu wielki palec u nogi. Pierwszem jego słowem było: „że tego tylko żałuję, iż w pierwszym popłochu ucieczki próbowałem“. Z wyszukaną grzecznością obchodził się ze swemi wrogami. Gdy zaś ci wyrazili mu współczucie z powodu licznych ran jego, odrzekł: — „Nie narzekam na was; postąpiliście jak dzielni ludzie. Sam temu winien jestem, nie powinienem był uciekać. Zresztą tak czy owak skończyło się już ze mną. Jedną tylko sprawą na tej ziemi jeszcze do załatwienia mi pozostaje“. Wraz z bandytą

zabrali żołnierze wiele pięknych koni, cztery karabiny „Henry Rifles“ i ładownicę, cztery sześciostrzałowe pistolety, dwie lunety, dwa siodła i znaczny zapas amunicji. Przy wejściu do Los Angeles wielki tłum ludzi przyjął ranego herszta i żołnierzy. Vasquez na barkach całej gromady usługujących zanieścionym został do więzienia. Tegoż samego wieczora jeszcze pomimo wielkiej cierpienia i upływu krwi zażądał rozmowy z Szeryfem. Ujrawszy go zaś prosił o wymienienie nazwiska zdrajcy, będąc pewnym, że przez zdradę tylko schwyconym został. Żądaniu temu uczynił nieostrożny Szeryf zadosyć. Vasquez od tej chwili uspokoił się dziwnie. Wieczorem straż spłoszyła dwóch jakichś ludzi, którzy zamienili z więźniem słów kilka. Podejrzani ci ludzie uciekli bez śladu. Poczem Vasquez dał się opatrzyć. Dwaj doktorzy wyjęli mu kule z ran, przekonali się, że dwie z nich były ciężkie i największą ostrożność z bandażami nakazali. Nazajutrz rano zbudzono Szeryfa. O czterysta kroków bowiem od więzienia, na słupie telegraficznym, naprzeciw okna Vasqueza wisiał trup. Był to: brat — denuncjant! Vasqueza zaś samego znaleziono martwym. Zerwał opaski z ran i dał krwi wolne ujście. Tak mściwą się i giną bandyci meksykańscy! Vasquez ten uchodził ręką władzy przez długi czas, ponieważ współziomkowie jego, Meksykańczycy, których zawsze życzliwie traktował, nie rozbójnika, ale wroga nienawistnych Amerykanów w nim widzieli i pomagali mu, jak mogli. Herszt ten był urodziwym, czarnowłosym i czarnookim młodzieńcem i popełnił niezmierną liczbę zbrodni.

— Mówią, że w Polsce lud jest zababunny. Nie mniej zababunym jest on we Francji, we Włoszech i w Niemczech. I tak piszą do „Gartenlaube“ z pewnej prowincji pruskiej: Jeżeli dziecko urodzi się n nas w czwartek, to nie może być chrzczone w niedzielę, aby mu się przez cały ciąg życia duchy nie pokazywały. Jak długo atoli dziecko nie jest ochrzczone, musi się świeca w izbie przy niem palić, albowiem w przeciwnym razie przyjdą kobboldy, które je odmieniają. Biada dziecku, jeżeli w drodze do kościoła, w którym ma być ochrzczone, wóz bodaj na chwilę się zatrzyma! Wtedy droga jego życia będzie pełna przeszkód. — Jeżeli dziewczyna ma u nogi drugi palec dłuższy aniżeli pierwszy, to może być pewna, że zawojuje swego męża, jeżeli zaś rzecz ma się przeciwnie, to podstępem i chytrością powinna sobie to panowanie zapewnić. I tak podczas ślubu stara się ona w ten sposób ukłknąć, aby jedna poła surduta jej narzeczonego znajdowała się pod jej kolanem. — Biada kapłanowi, jeżeli przypadkiem zapieje. Śmierć jego jest natychmiast postanowiona. Piejący kapłan zapowiada zawsze bliskie nieszczęście. — Jeżeli jadący spotka kobietę, to powinien nawrócić, i wyruszyć w drogę dopiero od studni najbliższej. — Ława, na której trumna stała, po wyniesieniu nieboszczyka powinna być natychmiast przywróconą, gdyż w razie przeciwnym nowy nieboszczyk wkrótce się na niej zjawi. Jeżeli umrze chłopiec mający lat 12, do roku umrze we wsi jeszcze 12 osób. — Każdy kwiatek uszczknęty na grobie i zanieściony do domu, zniknie przed wschodem słońca. W nocy przychodzi umarły i zabiera go jako swoją własność.

Odpowiedzi Redakcji.

L...r we Lwowie: Nie możemy umieścić.
B...r we Lwowie: Wiersz „Przedtem a dziś“ mimo pięknego zakończenia drukowanym nie będzie, ponieważ początek pod względem formy nie odpowiada całości.

Pani S. K. w Krakowie: Szluzna uwaga Pani, że dwie obszerniejsze powieści w piśmie periodycznem są nużące. Podzielając to zdanie, umieszczać będziemy obok powieści obszerniejszych krótkie nowelle, i już w przyszłym numerze rozpoczniemy druk najnowszej nowelli Auerbacha, „Na strącinie“, która nawet w oryginalnej jest u nas znana. Nowelle oryginalne będziemy dawali na przemian z obcemi.

Panu Chamecowi w Paryżu. Prosimy zwrócić, gdyż przez omyłkę wysłano.

Panu S... w Lipsku. Otrzymałmy; dziękujemy; żądana odpowiedź jutro odejdzie.

Wszystkich pp. Autorów i nakładców, którzy życzą sobie, by o dziełach przez nich wydawanych, były umieszczane recenzje w naszym piśmie, upraszamy o przysyłanie nowości wprost do Redakcji.

Księgarnia F. H. Richtera we Lwowie przyjmuje zamówienia na wszystkie dzieła umieszczane w części bibliograficznej.

Redakcja nie zwraca manuskryptów drobniejszych, chyba w takim razie, gdy autor zwrot sobie zastrzeże.

Treść Nr. 4.

Zakład Z. Milkowskiego w Lauzannie przez Józefa Rogosza; *Serce i ręka*, powieść J. I. Kraszewskiego (c. d.); *Obrazy z Anglii*, przez Sewera (c. d.); *Studja o sztuce w Polsce* przez Józefa Rogosza (c. d.); *Baśń o żydzie wiecznym tułaczem*, studjum według Helbiga, przez B. Czerwińskiego (dok.); *Pamiętniki z r. 1831*, Ignacego hr. Komorowskiego (c. d.); *Pogadanka*, Jana Lema; *Słowo w sprawie teatru lwowskiego*; *Piśmiennictwo polskie*, recenzja Dr. Karola Libelta (c. d.); *Piśmiennictwo zagraniczne*, M. hr. Dzieduszyckiego (dok.); *List II. z Warszawy* Wieniawy; *Ze świata naukowego*: Nowa Gwinea przez L. Tatomira (c. d.); *Bibliografja*. — *Wiadomości ze świata*. — *Rozmaitości*. — *Od Redakcji*.